

XXIII OGÓLNOPOLSKI
KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

ŁĘBORK, 28 LISTOPADA 2008 R.

ORGANIZATORZY

Burmistrz Miasta Lęborka
Rada Miejska w Lęborku
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego
Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku

KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

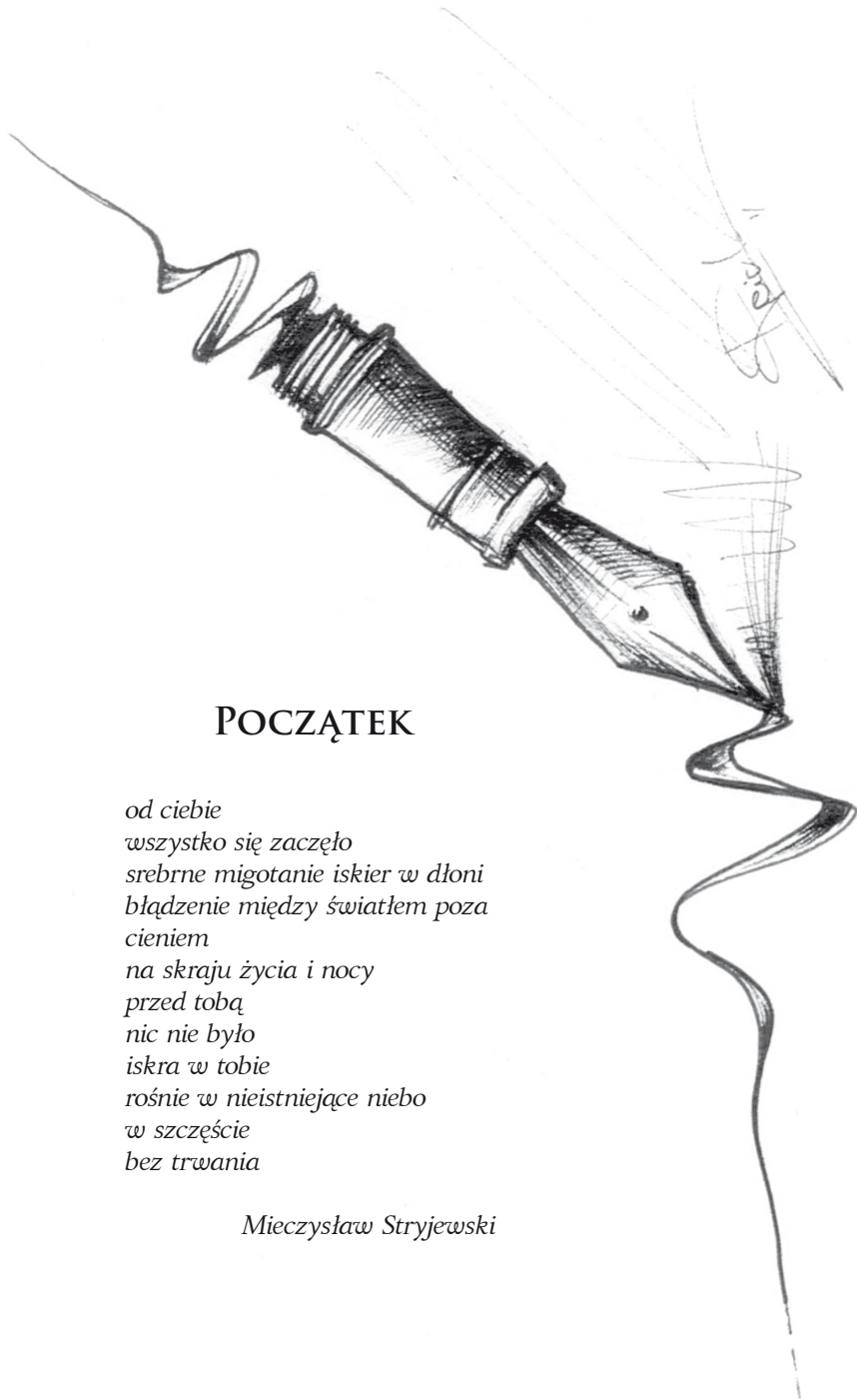
z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego
Samorządu Powiatu Lęborskiego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku
Katolickiego Stowarzyszenie Civitas Christiana w Gdańsku
Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji
Farm Frites Poland SA



PATRONAT HONOROWY

MARZAŁEK WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO
Patronat prasowy DZIENNIK BAŁTYCKI



POCZĄTEK

*od ciebie
wszystko się zaczęło
srebrne migotanie isker w dłoni
błądzenie między światłem poza
cieniem
na skraju życia i nocy
przed tobą
nic nie było
iskra w tobie
rośnie w nieistniejące niebo
w szczęście
bez trwania*

Mieczysław Stryjewski

JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący
Stanisław Janke
Krzysztof Kuczkowski
Roman Pryl

LAUREACI

Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego
Marcin Orliński (Warszawa)

W KATEGORII POEZJI:

I nagroda Burmistrza Miasta Lęborka
Maria Rytelewska (Płock)

II nagroda Przewodniczącej Rady Miejskiej w Lęborku
Jerzy Fryckowski (Dębica Kaszubska)

III nagroda
Zofia Staniszevska (Mieczewo)

W KATEGORII PROZY:

I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego
Hubert Tuchołka (Warszawa)

II nagroda Przewodniczącego Rady Powiatu Lęborskiego
Joanna Marat

III nagroda
Lechosław Cierniak (Słupsk)

NAGRODY SPECJALNE:

Nagroda im. Józefa Majkowskiego Katolickiego Stowarzyszenia
Civitas Christiana w Gdańsku
Christian M. Manteuffel (Lenningen)

Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Elżbieta Bugajna (Goręczyno)

Oddziału Miejskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku
Joanna Magnor-Kozłowska (Lębork)

NAGRODA GRAND PRIX
MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

MARCIN ORLIŃSKI

* * *

Jest zima 1988. Po raz pierwszy zostałem sam w domu i boję się odebrać telefon. Model Spitfire'a jeszcze nie wysechł, źle sklejone nóżki rozjeżdżają się na boki. Za oknem wielki, śnieżny pomnik – noc, pani przyplływów i odpływów. Cisza

pośród sygnałami jest nie do zniesienia. Dwadzieścia lat później wciąż boję się odebrać telefon. Nienawidzę zabawek z plastiku, a palce kleją się od krwi z obgryzionego paznokcia. Przede mną – droga żelazna, szcęk przesuwanych

dworców, szum żwiru, pisk kół zębatach, nawroty mdłości. I miłość jak zbyt ciężki bagaż, jak fiolka z klejem lub zielonym smarem. Zapisz: równia pochyła. Dziesięć lat wcześniej: niefortunny wjazd na rampę, poluzowane koło w rolce i upadek.

Cóż za arena, sny o zielonych liściach na śniegu, doskonale powierzchnie sponiewieranych latawców. A także wiara w nieśmiertelność ciała i nagła cisza pomiędzy sygnałami. Diagnoza: pęknięty staw skokowy. Diagnoza: rozbita klepsydra.

* * *

Cisza. Na dnie morza wybucha pierwsze słońce.
Odłamki przelatują nad latarnią morską i wpadają
w kosodrzewinę. Zieleń też ma swoje dno, więc
embriony tulą się do siebie, czekając na sztorm.
Potem plaża ożywia się, na rozgrzanych dachach

rozkładają się meduzy, spod plastikowej skrzyni
wypęła mgła. W poszyciu wybucha drugie
morze. Powietrze jest już zbyt gęste i nie uniesie
cienia, który wieczorami podmywa namioty.
Na gałęzi ktoś zawiesił kieszonkowe lustro,

cudzy portret, czytaj: ten las będzie do ciebie
powracał, w symetrii fraktalu i w półnagich prawdach
(zieleń, żółć, czerw). A może nawet w igłach, które
cerują stopy. Niebo też ma swoje dno. Wśród
śmieci podrygują porwane latawce, twarze

dorastających dzieci (spokojnie, to tylko błona,
materiał na bilet), poruszone przyjaźnie,
prześwietlone miłości, a także sól, która osadza się
na skórze i przerywa proces mumifikacji (*spokojnie*,
taki dar może ofiarować tylko matka). Początek

nie istnieje, to pewne. Bo las można nadgryźć
od każdej strony. Zamień przystawki, wylej wino,
a tamte odległe wakacje zmienią kąt nachylenia.
Ognisko zapali się w innym miejscu: w gardle,
w dziupli albo w oknie pociągu. W imieniu pamięci

materia pozdrowi materię: *żegnaj*.

* * *

Dzwon uderzył po raz ostatni i przepadł w roztoczach.
Nie ma lepszej pogody na pogrzeb niż upalny dzień –
duszną woń obierków od ziemniaków lub szyfr
przycisków od pilota. *Najcięższe już za mną, mówi*
przez telefon ciocia, *a teraz, wiesz, teraz jemy sobie*

barszcz

z uszkami, jak zwykle. Ale ciało mówi swoje: rozpadam
się dalej. Nóż zanurza się w nóżce, żebro powraca
do klatki, pod stopą chrzęści zęb. Odpowiadam:
kiedy dziecko kopie w brzuch, starzy ludzie
machają urwanymi rękami, zamykają okna.

* * *

Trzy po trzy, tylko tyle. Więcej nie usłyszysz,
nie pojmiesz, nie zatrzymasz z rzeki, która płynie
przez środek tego miasta. To, co ciebie nurtuje,
dla niego i dla niej nie znaczy nic (może
spotkamy się na rampie, wśród witryn i błogich

uników? Spinka odpowie: *czesz się*, broszka:
jest karnawał). Brzegi tego miasta podmywa
rozleniwiony sierpień. Zakurzone mury
przesuwają się powoli za las. Ale i my, kochanie,
musimy walczyć o chwilę teraźniejszą, o nagie

ramię Chronosa. Destylacja się rozpoczęła,
znów jesteśmy nad morzem. Znow, jak wtedy,
możemy skakać po dachach kościołów
i kochać się w pudle akordeonu, pośród
kubłów z farbą i konfetti.

I MIEJSCE W KATEGORII POEZJI
NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

MARIA RYTELEWSKA

NIEWYKLUCZONE

Niewykluczone, że są inne planety
na których istnieje woda, trawa i szare komórki.

Być może mieszkają tam podobne do naszych
psy, wróble, kamienie, koty, małpy i ludzie.

Być może płyną tam rzeki, kwitną wiśnie
i dzieją się rzeczy, o których się nie śniło
naszym Sokratesom.

Niewykluczone, że i tam trwają wielkie wojny,
psują się rowery, fordys, telewizory i żaby.

Być może także i tam Boeingsi fruują nad chmurami,
lądują na ziemi, wpadają do oceanów.

Niewykluczone, że każda z tych planet
ma swego Szekspira, Darwina, Einsteina,
Napoleona, Hitlera, Chaplina a nawet Boga.

Gołębie mają tam gołębie serca, wielbłądy
garbate szczęście i niedaleko pada
jabłko od jabłoni.

Być może istnieje tam wiara, nadzieja, miłość,
herbaciana róża, pomidorowa żaba, supermarkety,
przesyt, nienawiść i głód.

Wieczność niekoniecznie jest wieczna,
niekoniecznie wszędzie taka sama i dla wszystkich.

Niewykluczone jednak, że jesteśmy sami
i tylko my produkujemy książki, filmy, opery, symfonie,
Mondriany czyli orzechy trudne do zgryzienia.

Obiecujemy i nam obiecują
gruszki na wierzbie i Niebo po śmierci,
niekoniecznie Siódme.

Niewykluczone, że...

WIERSZ DLA MAŁGORZATY HILLAR

My- z pierwszej połowy XXI wieku
Schwyte w komórkowe sieci
pokolenie eurosierot,
zainfekowane internetem i ptasią grypą-
śmiejemy się z miłości...

Putin straszy świat rakietami.
W Indiach płoną kościoły.
Państwo Izrael nie ma duszy.
Rekordowe ceny ropy naftowej
to bardzo zły sygnał.
Nowe kraje pukają do NATO.

Naukowcy znaleźli sposób
na regenerację wątroby.
Francuzi rozwodzą się przez Internet.
Rewolucja w ewolucji.
In vitro może uratować życie.

Strażnik więzienny to najbardziej
stresujący zawód na Naszym Świecie.
Pan Bóg to najbardziej stresujący zawód
na Tamtym Świecie.

Replika ludzi coraz bliżej.
Rośnie apetyt na szczęście.
Mors certa, hora incerta...

JANUSZ DZIUBAK 1955-2008

podpisywał się- Janusz Dziubak
wielki mistrz reiki
rozczarowani światem
nie potrafimy do końca zrozumieć
że jesteśmy tylko fragmentem
większej całości
trochę pianista
trochę kompozytor
trochę poeta
i najczęściej
szary przechodzień
mrużący swoje życzliwe
pretensje do rodzinnego kraju
miasta
ludzi
i świata
nie miał przyjaciół
więc musiał mieć
wrogów
pielgrzymował
wierzył i wątpił
przychodził i odchodził
znikał na ulicy Jesiennej
gdzie mieszkał sam
na sam ze swoją samotnością
najchętniej milczał
niewielu artystom
udaje się żyć skromnie
bez hałasu i zgiełku
wokół swojej osoby
na swój temat
zostało po Nim

trochę wierszy, nut, notatek
szare pianino i muzyka
żył cicho i umarł po cichu
w hospicjum przy ulicy Piłsudskiego
miał 53 lata
był fragmentem większej całości
trudnym więc niedocenionym
sit tibi terra levis
a dusza niech odejdzie w nowe
lepsze, szczęśliwsze, życzliwsze
miejsce
tak jak chciał
z prochu powstał
prochem został
w przypadkowym miejscu
na nieprzypadkowym cmentarzu
przy Norbertańskiej...
nad Wisłą.

**Bóg zjawia się jak piorun i uderza w fale.
Co wynika z wierzy Adama Wiedemanna?
Aria operetkowa o polskiej poezji współczesnej.**

Jasno widać, że ciemno.

Anna German umarła, głos został na płytach. Rosja się cieszy, a nam, ciągle mało. Wciąż szukamy dowodów na istnienie Boga. Tak, jakby Jezus nigdy nie zmartwychwstał.

A Święty Franciszek i stu innych świętych?

Dziś, w ojczyźnie nad Wisłą, nikogo nie obchodzi, że Kasia Sobczyk ma raka piersi. Wszyscy pamiętają, jak czterdzieści lat temu marzyła o Małym Księciu. Dziś też tęskni za cudem.

Sąsiad zapytał - czy to znaczy, że Kasia będzie umierać śpiewająco? Będzie. W tym kraju wszyscy umieramy śpiewająco.

Sąsiad ma niższe wykształcenie i nie czyta wierszy Adama Wiedemanna. Zatrzymał się na Marii Konopnickiej z pięknej wyspy Lesbos. Zmieńmy może temat? Zmieńmy może płęć? Zmieńmy może ojczyznę? I zmieńmy sąsiada...

W sierpniu trąba powietrzna chciała zabić pół Polski.

Na olimpiadzie gejów w Barcelonie (2008) polscy siatkarze zdobyli złoto, a lesbijki srebro. Dania jest więzieniem, Nowa Huta trucizną, a Pekin porażką. Bob Dylan wrócił do USA i już nie pamięta, że miał koncert w warszawskiej Stodole. A kto dziś pamięta

Travelling Wilburys (ten dreszczowy kawałek wujka Boba „Bone In Time”)? To właśnie wtedy George Harrison pocałował w usta Roya Orbisona. Jeśli to był grzech, to poszli do piekła. Trawa jest dużo lepsza od papierosów. Zapytajcie krowy. Najbardziej łączy nas z Adamem Wiedemannem kasztelańskie piwo, po którym rzygamy łatwo, lekko i przyjemnie nie mając wątpliwości - Polska jest Hamletem... Jednak w przeciwieństwie do Adama Wiedemanna wolę jazdę figurówą krakowskim tramwajem od figuratywnego pisania wierszy, i najmniejszy wibrator od największego księcia. Żyć śpiewająco, umierać w milczeniu potrafią tylko irlandzkie skowronki.

Kto rano wstaje, temu chce się spać.

Björk syczy na dobranoc „Groomy Sudany”.

Kochanowski - gdyby żył, byłby piękny jak Bryll trzeźwy jak Wojacek...Wszystkie szpitale psychiatryczne przepełnione są mną.

II MIEJSCE W KATEGORII POEZJI
NAGRODA PRZEWODNICZĄCEJ
RADY MIEJSKIEJ W LĘBORKU

JERZY FRYCKOWSKI

NIEBIESKA NA CMENTARZU

Pamiętam że
chabry tylko w zbożu
czasem nielegalnie u bulwarowej handlarki

Dziś krząta się wokół mogiły matki
wyrzuca na śmietnik wieńce z kwiatów
które nie zwiędły
bo nigdy nie były prawdziwe
ile może być niebieskiego na cmentarzu
nie wiedzą nawet kamieniarze
zakuci dłutem w przygotowane wcześniej litery
niebieska chodzi na palcach
ciągle jeszcze wierzy że matka śpi
a gdy obudzi się rano
wyśle po bułki i mleko
już kolejny tydzień przychodzi na czczo i czeka
wydeptuje ścieżki mrówkom
dokłada im zwiędłych liści i latarniami zniczy
pokazuje bezpieczny brzeg

niebieska jest ubrana na czarno
od stóp po głowę
sam się dziwię skąd ta poświata

DZIEWCZYNA W NIEBIESKIM

Patrzy na mnie i mówi

będiesz mój za trzydzieści lat
nie oprzesz się siwym włosom
i podłużnej bliźnie po bliźniaczkach
nauczę cię mojej skóry i chodzenia po mieszkaniu tylko w skarpetach
zobaczysz że meble są nie tylko po to
aby w nich mieszkały ubrania
a tu gdzie kroję chleb zaczerwienię się dla ciebie jak rzodkiewka
biała wewnątrz i niewinna
nauczę cię ogrzewać dłonie między udami
wszystkie następne kroki poczynimy razem
od ulicznych handlarek wykupię skradzione w Niemczech zapachy
i jak sati spłonę obok na dywanie
byś już nigdy nie odszedł
przed nami jeszcze dalekie wyprawy
po gałki muskatołowe i nabrzmiałe sutki
nasze języki staną się wielojęzyczne
byśmy się porozumieli o każdej porze nocy
dnia przecież nie będzie gdy słońce za plecami

NIEBIESKA – ZAPACH

Twój zapach jest tylko po to
aby mnie budzić nadmiarem soli
która wdziera się kroplami potu pod powieki
i nie da zasnąć do pierwszego śpiewu ptaków
wiem że czasami próbujesz go ukryć
za stertą zakurzonych ksiąg

za ulotnym płomieniem kosmetyczki
pełnej uśmiechu Gabrieli Sabatini
robisz błąd
twój zapach powinno się nosić ze sobą
jak tranzystorowe radio w latach sześćdziesiątych
oswoić jak obcego psa
lub własną nagość
by stał się częścią nas samych
byśmy przestali się ukrywać
i wstydzić zarumienionych policzków

w chłodny poranek kiedy jeszcze śpią kościoły
zapach twojej nagości
powinien uczyć odczuwania bólu
bo każdy samotny człowiek
ma do niego prawo

LATO W N.

Ewie i Januszowi

Czereśnie już się rumienią przed szpakami
lokomotywy wąskotorówki dyszą coraz ciężiej i nabierają rozpędu
by za jednym zamachem wjechać na wiadukt gdzie my tylko w gaciach
a pod nami odwaga i dwa metry głębokości
szkoła jak złe wspomnienie zostaje za oknami wagoników
Niebieska stoi przed lustrem i czeka na różowe wstążki
dzisiaj po raz pierwszy przejdzie na drugą stronę ulicy
tam jest biały fortepian i siwa głowa mistrza
matka zna konwenanse i zaplata warkocze przyszłej pianistce
przecież to tylko 30 złotych za godzinę
ojciec wypruwa żyły i ustawia kolejność autobusów
cały plac manewrowy należy do niego i córka jest dumna z darmowych biletów

W urzędzie telekomunikacyjnym telefony uczą się na pamięć nowych numerów
na które czekały piętnaście lat podpierając się legitymacją ZBOWiD-u
i powtarzają szeptem ku oknom szpitala
gdzie pochylona śmierć od oddziału do oddziału
Nie ma takiego ratunku nie ma takiego ratunku

Jaskółki już odleciały
gałęzie jabłoni coraz bardziej ciężarne
chciałyby się napić z powolnej Tugi toczącej rzęsę na drugi brzeg
Niebieska rozciąga palce na szerokość nokturnów
przed zmierzchem robi się coraz bardziej duszno
dorośli popijają piwo w barobusie
młodszy w kurzu strzelają kolejne bramki
dogrywki nie będzie chociaż na wyjeździe wszystko liczy się podwójnie

Kurz opada na meble
jeszcze tylko szerszenie buntują się grożąc alergikom
Niebieska zasypia nad zeszytem nutowym
rzeka jak zwykle zakręca w tym samym miejscu

Rano wypłyną zwłoki Krzysztofa

III MIEJSCE W KATEGORII POEZJI

ZOFIA STANISZEWSKA

IRENIE SENDLEROWEJ

dwa i pół tysiąca porodów
w piwnicy i w kublach na śmieci
pudłach i workach po ziemniakach
jadących ambulansem
w pustych porannych gmachach sądu
stojącego na granicy
lepszego świata
najgorzej wspominałaś nie sam poród
i oczy Niemca lub szmalcownika
obaj bali się tyfusu
gorsze było powracające w koszmarach
odcinanie pępownicy od prawdziwych matek
nie jesteś już Icek
mówiły
masz na imię Jasiu
zapamiętaj
a ja nie byłam twoją mamusią tylko gospodynią
pani Irenka zabierze cię do prawdziwej rodziny
która da ci obiad
słyszysz obiad i kolację
idź już idź

oddechy uratowanych
podtrzymywały świat
twój świat
umierając w domu starców
w ogóle nie liczyłaś
że ktoś z dzieci
cię zaadoptuje

ZOSIA NIE CHCE DOROSNAĆ

nie chciałam mieć osiemnastu lat
choć zamierzałam wyjść za mąż i mieć troje dzieci
wtedy nie wydawało mi się to sprzecznością nie do pokonania
prawie co wieczór dzwoniła do nas stara Witkowska
bo znów objawiła się jej
Matka Boska Niepokalana
na szybie na półpiętrze
w koronie ze złota i białej sukience
pożyczała świeczkę i zapalki
na wieczne nieoddanie
a przy okazji kilo cukru i pięćset złotych
mama wzdychała i dawała
nie zaliczyła jeszcze kursów asertywności
jak dwadzieścia lat później
na spotkaniach Al-Anon
dla rodzin uzależnionych
tata uzależniony był od alkoholu
a mama od taty

o mnie sześciolletnią dziewczynkę
z grubym ciemnym warkoczem
pobiło się dwóch chłopców z klasy
zwycięzca śliczny blondynek z loczkami
pocałował mnie w czoło
i obiecał małżeństwo
wstąpił potem do seminarium
i jak tu miałam wierzyć mężczyznom

nie chciałam dorosnąć
odkąd podsłuchałam przypadkiem rozmowę rodziców
leżałam w łóżku i nie mogłam zasnąć
tata powiedział (był zadziwiająco szczery)
że nie podoba mu się ciało mamy
bez porównania z ciałem dwudziestki
jędrnym świeżym
i że chyba wyjedzie do RPA
bardzo się przejęłam
w tych czasach mieć ojca w egzotycznej Afryce
to tak jakby teraz wygrać bilet na Księżyc
albo na orbitę okołozemską
nie wytrzymałam i kilka dni później spytałam się o wyjazd
głupia jesteś
stwierdził tata
gdybym wyjechał to bym was zostawił
na dobre
pierwszy raz w życiu tak gorąco się modliłam
ale rozczarowałeś mnie
tata został z nami

JAK TO BYŁO Z ZOFIĄ I GWIAZDĄ

moja babcia
malutka jak krasnal
któregoś lata wyciągnęła z szuflady pachnącej starym drewnem
pożółkły naddarty papier
gotyckie litery zawiadamiały o śmierci dziadka w Auschwitz
nie podały okoliczności

później jak już wiedziałam
że te sześć milionów zgładzonych w obozach
to Żydzi
a nie Polacy jak uczono mnie w szkole
zastanawiałam się czy dziadek nie był Żydem
nie był
babcia za to była Żydówką
dokładnie żydowskim mieszkańcem
według Dziennika Zarządzeń Generalnego Gubernatorstwa
bo już jej mama należała do przechrztów
ale o tym Niemcy nie wiedzieli
a dziadka aresztowano
za spranie tyłka niemieckiemu gówniarzowi
którego z rodzicami zakwaterowano w podkieleckiej wsi
wprawiającego się w rzucaniu do celu kamieniami
za tarczę robili Polacy
mój tata urodził się jako pogrobowiec

dziadek mojej mamy przywędrował z Litwy
zobaczył babcię na zabawie wiejskiej
i z miejsca się oświadczył
w Małachowie skompletował sporą biblioteczkę
po której buszowała moja mama
i ku zgorszeniu chłopów malował
nie-święte obrazy
gdy prababcia się złościła
pradziadek po cichutku nawiewał do stodoły
z buteleczką na strapienie

ZOFIA ZAKŁADA CHÓR

choć słoń nadepnął mi na ucho
prawe i lewe
zamarzyłam o chórze
o jedności poszczególnych brzmień
wspinających się po drabinie do nieba
o ciała wyzwoleniu
wmuzykęwstąpieniu

stałam na środku pola
krzyknęłam aż po koniuszki chmur
zawibrowały czubki palców brzuch gardło
szukałam własnego głosu
między żalobną pieśnią chrząszcza grabarza
nad zdechłym kretem
a trelem skowronka
narwańca czystego błękitu

nastrajałam nerki trzustkę wątrobę
na tony rozbrzmiewające poza ścianą skóry
aż przedarły się do mego ciała
dźwięczne flety nieba
nad głuchymi bębnami ziemi
biorące wysokie C oceanów

od tego czasu ćwiczę pilnie
komponując sonaty księżycowe
odyseje kosmiczne
i symfonie osobliwości
ćwiczę nieprzerwanie
żeby nie wypaść z chórów anielskich
jak to zdarzyło się temu
który stracił światło brzmień

I MIEJSCE W KATEGORII PROZY
NAGRODA STAROSTY POWIATU LĘBORSKIEGO

HUBERT TUCHOŁKA

BISZKOPT I FIGARO

Przyszedłem do Pana, żeby Pan mnie wysłuchał. Żeby Pan mnie wysłuchał i powiedział, co o tym myśli. Żeby Pan mnie ocenił. Żeby Pan mi poradził. I przede wszystkim żeby Pan zapomniał, że w ogóle do Pana przyszedłem. I za to wszystko jestem gotów Panu zapłacić. Wiem, że to poniżające. Przyszedłem do Pana, bo nie mam do kogo. Tak, też wiem, że to smutne. Od dawna jestem sam, coraz bardziej staję się sam. Nigdy nie byłem towarzyski, to prawda, ale dawniej mi to nie przeszkadzało. Nie wiem czemu, po prostu nie przeszkadzało, nawet w ogóle nie specjalnie zwracałem na to uwagę. Teraz jednak, może z wiekiem, coraz bardziej brakuje mi ludzi, samej ich obecności w pobliżu, chodzi po prostu o to, żeby gdzieś obok byli, żebym czuł, że są, nie muszę nawet z nimi rozmawiać, czasami nawet myślę, że nie potrafiłbym. Dlaczego? Bo nigdy nie potrafiłem i nigdy tego nie potrzebowałem. Może w takich chwilach, jak ta, ludzi brakuje mi najbardziej.

Nie narzekam na swoje życie, nie chcę, żeby Pan tak to zrozumiał, no, może było zbyt nieuporządkowane, to prawda, chaotyczne, zbytnio nieprzemysłane, z tym też bym się zgodził, zawsze za bardzo szedłem na żywioł i tak jest teraz. W moim życiu rzeczy ważne nigdy nie były zaplanowane, przemysłane, zorganizowane, po prostu działały się. Czuję się czasami jak duże i stare dziecko i tak naprawdę nie chcę przestać nim być. Dlatego, że dorosłość zawsze kojarzyła mi się i nadal kojarzy z bezsensownym, bezcelowym trwaniem, byciem w czasie, nie zmierzającym donikąd istnieniem, nie wiadomo po co. Kojarzy mi się z czterdziestokilkuletnią urzędniczką, pijącą w biurze herbatkę, gadającą

z innymi takimi samymi urzędniczkami o niczym istotnym, wychodzącą z pracy o szesnastej, robiącą zakupy i wracającą do domu. I tak dzień po dniu, dzień po dniu, do emerytury. Już o nic nie chodzi, już się niczego nie chce, już się do nikąd nie dąży, do niczego nie zmierza, trwa się bezcelowo w czasie. Nie wydaje się Panu, że coś w tym jest, i że nie chodzi tylko o tę nieszczęsną urzędniczkę.

Często ostatnio myślę o przeszłości. Może to dziwne, a może i nie - zawsze zdarza mi się to od razu po przebudzeniu. Ubieram się, albo gołę i myślę - co było dokładnie dwadzieścia albo trzydzieści lat temu, ale dokładnie tego samego miesiąca i dnia tyle, że właśnie dwadzieścia czy więcej lat temu, czasami też skaczę za chwilę o rok albo o pięć lat w jedną lub drugą stronę, czy pamiętam co się wtedy wydarzyło, kim wtedy byłem, co robiłem, co się właśnie niedawno stało, co stać się miało wkrótce, a co trochę później? Jak wtedy żyłem, dokąd dążyłem, czego chciałem. Tak, ma Pan rację, mam problem z przeszłością, chociaż nie w tym sensie. Właściwie mam problem z jej wpływem na teraźniejszość, z tym na ile powinna być dla mnie ważna, na ile powinienem oceniać to, co jest, przez pryzmat tego co było, porównywać i może odrzucać, co łatwiejsze, lub akceptować, czego nie do końca potrafię, na ile powinny mnie dotyczyć zachodzące zmiany? A zmiany zachodzą stale i wszędzie (myślę, że zawsze zachodziły, ale wcześniej tego nie zauważałem, nie czułem, żeby mnie to dotyczyło), w najbliższej okolicy i w całym mieście, znikanie marek papierosów (tak, pałę) i tytułów gazet, które zdążyły stać się częścią mojego świata, od zawsze przecież były, znikanie cyklicznych programów w telewizji nadawanych od kiedy tylko pamiętam samą telewizję i zmiana nazw ulic, które zawsze przecież tak się nazywały, burzenie starych domów, których istnienie pamiętam jeszcze z dzieciństwa, i stawianie w tym miejscu nowoczesnych kilkupiętrowych kamienic (przecież ładnych i kolorowych), zanikanie starych znajomości, odchodzenie ludzi na własne indywidualne, odrębne ścieżki i wrastanie w nie, ścieżki na których dla mnie nie ma już takiego miejsca, jakie kiedyś było, dla mnie i dla innych, innych którzy też odeszli na własne ścieżki. To oni odchodzą, czy ja? A może my wszyscy rozchodzimy się w swoje strony, we własne nie tyle odrębne, ile rozdzielne, światy? Na ile znaczenie dla mnie powinno mieć to, że okolica mojego dzieciństwa, do której znowu sprowadziłem się ostatnio, prawie w ogóle nie przypomina tej, jaką zapamiętałem, dlaczego to, że właśnie jeden z ostatnich dwóch pozostałych z tamtych czasów budynków, małą bibliotekę w dużym dzikim zarośniętym ogrodzie ze starym przerdzewiałym parkanem z siatki, właśnie burzą i stawiają nowoczesny znacznie większy budynek, też bibliotekę, wycinając przy okazji wszystkie drzewa, dotyka mnie? Dotyka mnie nie to, że wycinają wszystkie drzewa i stawiają obiektywnie nowocześniejszy i większy

budynek, ale to, że znika jeden z ostatnich widocznych śladów z tamtych czasów, z tamtego świata – biblioteka do której chodziłem będąc dzieckiem. Czuję, wiem, mam świadomość, że zmiany te i tak będą zachodzić, czy tego chcę czy nie i stary świat będzie odchodził, będą znikać jego pozostałości, coraz więcej rzeczy będzie już istnieć tylko w pamięci, w pamięci być może niewielkiej grupy osób, aż w końcu zniknie razem z nami. Czym powinno być dla mnie to, co było, czym powinno być dla mnie to, co jest, co się tworzy, czym powinny być dla mnie zmiany, zauważanie odchodzenia, tak jakbym tracił korzenie, jakbym wraz z kolejną zmianą tracił część poczucia tożsamości, własnego miejsca, układu odniesienia, własnego domu, własnego świata? Jak już mówiłem, kiedyś nie zwracałem na to uwagi. Teraz nie potrafię pogodzić się z tym, że przeszłość jest tylko przeszłością, jest czymś co minęło, że świat idzie dalej, że nie możemy zachować śladów, coraz mniej licznych, tamtego świata, że jakkolwiek bardzo byśmy chcieli ocalić tamten świat takim, jakim go zapamiętaliśmy, nie jesteśmy w stanie tego zrobić. Nie potrafię pogodzić się z tym, ale też nie jestem pewien, nawet gdybym mógł ocalić jakiś fragment tamtego świata, czy powinienem to zrobić. Świat idzie naprzód i będzie szedł nawet wbrew nam, będzie się zmieniał. Pewnie ten sam problem mieli nasi poprzednicy i, co jest dla mnie dużym, nie pozbawionym złośliwości, pocieszeniem – będą mieli i ci dla których to, co powstaje na gruzach mojego świata, stanie się ich światem. I dobrze im tak, cieszyć się z tych zmian, to poczekajcie trochę sami – myślę czasami nie bez przynoszącej niejaką ulgę satysfakcji. Tak więc ani my pierwsi, ani zapewne ostatni. Póki co jednak, kierując się płytkim, czuję to, wymuszonym rozsądkiem, pozbawionym oparcia, wmawiam sobie, że powinienem akceptować te zmiany, dostosować się do nich. Niewolne jest to od goryczy i świadomości, że wraz z nimi coś we mnie umiera, że przechodzę do innego świata, że coś na zawsze opuszczam, coś bezpowrotnie tracę, coś, czego trzymałem się, coś, co stanowiło element mojej świadomości i tożsamości. W zamian zyskuję pustą przestrzeń, pozwalającą wprawdzie swobodnie iść naprzód, pozbawioną jednak ciężaru. Nie potrafię bronić tamtego świata tylko dlatego, że był, nie potrafię w imię tego nie godzić się na zachodzące stale i wszędzie nieustanne zmiany spychające go stopniowo w niebyt, bo gdzieś w środku czuję, że to i mnie spycha w niebyt, że trzeba iść do przodu, że zmiany są rzeczą naturalną, nie tylko tu i teraz i nie tylko w odniesieniu do mnie i ich odrzucanie nic nie zmienia. Nie potrafię jednak jednocześnie zamknąć za sobą ostatecznie drzwi, uznając, że za nimi jest już tylko bezpowrotnie odeszła przeszłość. I tak już od pewnego czasu tkwię w stanie niezdefiniowanym, w punkcie niejasnym, w miejscu nie do końca określonym. Czuję tylko, że przeszłość nie powinna mi ciążyć, ale też że nie można jej jednak pominąć. Czym więc ma być?

Niech Pan powie, czy ze mną jest coś nie tak? Może popełniam jakieś błędy, których nie zauważam, bo tkwię w ich środku, które łatwiej jest dostrzec komuś, kto patrzy z zewnątrz?

Kilka dni temu dowiedziałem się, że zmarł znajomy moich rodziców. Właściwie miałem z nim bardzo ograniczony kontakt. Zaledwie kilka przypadkowych spotkań, bardziej może zetknięć. Kiedyś, kiedyś to znaczy dwadzieścia lat temu, na lato wynajęli domek koło domu rodziców i bywali u nas częściej – on z żoną. Kiedy się dowiedziałem o jego śmierci, choć był mi w zasadzie obcy, pomyślałem, że cały czas za czymś gonimy, czas nam ucieka, mijają wiosny i lata, mijają niezauważenie, dni są podobnie do dni, tygodnie do tygodni, miesiące do miesięcy, lata do lat – praca-dom, jak u tej urzędniczki. Czy nie uważa Pan, że od pewnego momentu czas zaczyna strasznie gonić? I raptem takie wydarzenie, nawet nie to żeby mnie jakoś szczególnie przejmowało (w zasadzie przecież prawie go nie znałem), ale „nie spiesz się tak” powiedziałem sobie. Tak, jakby coś kazało mi nagle się zatrzymać w nieprzemysłanej pogoni, w pogoni za czym dokładnie przecież nawet sam nie wiem, w pogoni odruchowej, bo wszyscy gonią, trwają, krzątają się, i kazało przez chwilę spojrzeć szerzej, dalej, głębiej? Na co? Na pośpiech, uciekanie czasu, przelewanie się go przez palce, marnotrawienie tego, co jest bezcenne, czego nie można kupić, odzyskać, co jest naprawdę dane tylko raz i jeżeli źle to wykorzystamy, to przepadło? I nie ma zmiłuj się? Nasze życie możemy przeżyć tylko jeden raz, przeżywamy je z każdym dniem, z każdym wstaniem z łóżka, tylko tu i teraz. Popełniony błąd jest popełniony raz na zawsze.

Zdarza mi się czytać informacje o śmierci ludzi, znanych i nie znanych, takich którzy czegoś dokonali i takich którzy pewnie tylko zwyczajnie żyli. Nie wiem dlaczego, ale jakoś przykuwają od pewnego czasu moją uwagę, głównie to, ile mieli lat w chwili śmierci, tej informacji szukam. Porównuję ich wiek ze swoim wiekiem i liczę ile lat mi zostało, gdybym miał umrzeć w ich wieku. Na ogół zaledwie niewielka część, tego, co już przeżyłem. I po co tak gnam? Dokąd? Czy, jeżeli i mi zostało już tylko kilkanaście lat, żyję właściwie? Jak powinienem je przeżyć? Co jeszcze chciałbym w życiu zrobić? Może zostało mi, tak jak temu z gazety, dwanaście lat życia, a może mniej i potem koniec, koniec wszystkiego, dalej nie ma już nic. To wszystko. Jak powinienem przeżyć te kilkanaście lat, tę resztę mojego życia? Resztę, która razem z tym co było, wyczerpuje całość. Dalej nie będzie już nic. To będzie naprawdę koniec. A przecież jeszcze tak niedawno temu, pamiętam to dziwnie dokładnie, wyraziście, patrzyłem w majowe południe na prześwietlone słońcem liście przez okno sali, w której w drugiej klasie liceum uczono nas chemii, do tej pory, kiedy o tym myślę czuję

ciepło tamtego dnia i jakiś szczególny nastrój tamtej chwili. Tak jakbym się nagle zatrzymał. Wiedziałem wówczas, że będę pamiętał tę chwilę. Potem, po powrocie do domu, poszedłem na spacer, chociaż nigdy tego nie robiłem, nie lubiłem i nie lubię spacerów. Ten spacer też pamiętam, choć już fragmentarycznie. Nie wiem dlaczego zapamiętałem właśnie to. Pomyślałem o tym jednak czytając nekrolog jakiegoś bardzo znanego muzyka, którego śmierć sama w sobie jest mi kompletnie obojętna. Pomyślałem, że być może i mi zostało już tylko dwanaście lat życia. A jeżeli tak? Czy dwanaście czy dwadzieścia, czy jest to różnica? Sięgam wyobraźnią do końca, nie jest to już niewyobrażalny czas. Jak powinienem go przeżyć? Czy tak jak dotychczas? Perspektywa nadchodzącego, być może powoli, a być może już nie, końca, zmienia sposób patrzenia na to jak powinniśmy żyć. Już nie jesteśmy nieśmiertelni, już nie będziemy żyć zawsze, już nie jest tak, że jeszcze na wszystko znajdziemy czas, już trzeba wybierać, już nie ma czasu, czas do końca jest już dla nas do wyobrażenia sobie, do pojęcia.

Wracając do błędów, boję się, że mogę je popełniać nie zauważając tego. Zauważyłem, że czasami ludzie mówią o mnie rzeczy, które są dla mnie kompletnym zaskoczeniem, które w moim odczuciu w ogóle do mnie nie pasują. Przypisują mi cechy, których nie posiadam, zarówno pozytywne jak i negatywne, albo motywy działania nie tylko nie prawdziwe, ale w ogóle do mnie nie pasujące. Właściwie co mnie to obchodzi? Nic, to prawda, nie przejmuję się tym, ale takie, nawet luźno rzucone uwagi, powoduje, że zaczynam się zastanawiać, jak wyglądam w oczach innych. Nie dlatego, żeby samo to miało dla mnie jakieś znaczenie, ale właśnie dlatego, że być może ja sam patrzę na siebie nie do końca właściwie, czegoś nie dostrzegam, nie widzę tego co jest, mam nie do końca prawdziwy obraz samego siebie. I właśnie dlatego przyszedłem na to spotkanie. Przyszedłem, żeby Pan spojrzął na mnie z zewnątrz. Potrzebuję spojrzenia kogoś z zewnątrz, kogoś, kto dostrzeże to, czego ja sam nie zauważę i kogo będę chciał wysłuchać i uwierzę mu, a przynajmniej nie przejdę obojętnie wobec tego, co mi powie, bo będę wierzył, że wie co mówi.

Wiem, że powinienem sobie radzić sam i nie przychodzić do Pana. Wszyscy powinniśmy. Ale nie mam kompleksów. Nie jest to moje pierwsze takie spotkanie. Na poprzednich widziałem osoby, o których nigdy przedtem bym nie powiedział, i chyba nikt, kto nigdy nie przyszedł na takie spotkanie nie powiedziałby, że można je tu spotkać. Osoby o bardzo silnej osobowości, osoby bardzo otwarte na świat i wyglądające na takie, które powinny być powszechnie lubiane i zadowolone z życia, osoby prowadzące życie, którego większość mogłaby im zazdrościć i zapewne zazdrości. A jednak przychodzi. Wiem, że mówiąc to szukam usprawiedliwienia dla siebie, alibi dla mojej tu obecności, dla naszego

spotkania, a może świat jest bardziej skomplikowany i mniej schematyczny niż nam się wydaje, i dopiero kiedy stanie się coś, co nas przerasta, kiedy po raz pierwszy nie mogąc z czegoś znaleźć sami wyjścia, z czymś sobie poradzić, cokolwiek by to było, ze strachem i zażenowaniem, przyjdziemy na takie spotkanie, dopiero wtedy to zauważymy i może to w jakimś stopniu zmieni sposób w jaki patrzymy na ludzi, na świat i przede wszystkim na siebie samych. Dopiero wtedy. I może dopiero po pierwszym takim spotkaniu spostrzeżemy, że kogoś nam brakuje, kogoś, kto by powiedział nam prawdę o nas, kto wyszedłby poza uśmiech, przemilczanie, zmianę tematu, udawanie, że nie dostrzega, unikanie, nie mówienie, bo nie wypada, nie wtrącanie się, bo tego się przecież nie robi, kogoś, kto by nam powiedział, co widzi, co dostrzega i co o tym myśli. Kogoś kto by się nie bał, że go źle zrozumiemy, źle ocenimy, że jakim prawem się wtrąca, że nie jego sprawa. Kogoś, komu my sami byśmy pozwolili, kogo nie podejrzewalibyśmy o złe intencje, wobec kogo bylibyśmy w stanie sami się przezwyciężyć i wysłuchać, kogoś aż na tyle nam bliskiego, albo aż tak nam obojętnego, jak Pan.

Chodzę na takie spotkania, jak to nasze, od czasu do czasu. Chodzę już bez zażenowania, bez skrępowania, bez poczucia że nie powinno mnie tutaj być. A może chodzę tylko, żeby mieć alibi przed samym sobą, że coś robię, że dbam, że się staram, że nie zaniedbuję. Jak na co-półroczny przegląd do dentysty. Jak na przegląd samochodu. Jakbym gdzieś kiedyś coś zatracił, jakieś proporcje w ocenie rzeczywistości i czuł, że sam nie potrafię ich odnaleźć.

Rzeczywistość mi umyka, to co jest rzeczywiste, co ma ciężar, znaczenie, wagę, co jest istotne jakoś zeszło na plan dalszy, bo nie narzuca się, nie wymusza natychmiastowych działań, koniecznego zajęcia się natychmiast, konieczności zrobienia na wczoraj, nikt nie dzwoni w tej sprawie i nie pogania, nikt nie wysyła w tych sprawach e-maili, których wolałbym nie czytać, nikt nie dzwoni z groźbą, że jeżeli natychmiast tego nie zrobię, to znajdzie kogoś innego, kto to robi. I wiem, że znajdzie. To co istotne płynie powoli w ciszy, obok mnie, płynie stale, do przodu, niezauważenie, mija dzień po dniu, przemija, odchodzi. Odchodzi na zawsze. I z tym też przychodzę do Pana. Przychodzę, żeby Pan mi pomógł zatrzymać się bez strachu, że jeżeli przestanę gonić upadnę w obowiązującej hierarchii, pójdę ścieżką ludzi przegranych, którzy się poddali, nie wytrzymali, załamali się, uciekli w spokój, wyjechali na Mazury, zajęli się budyzmem, słowem ponieśli klęskę i się nie liczą, nie ma ich, zniknęli ze świata ludzi sukcesu, jedyne liczącego się świata, jedyne właściwego, do którego warto i należy dążyć, stale, zawsze i bezwzględnie. Boję się, że dostrzeżenie tego, co przepływa to początek końca, że nie powinienem na to zwracać uwagi,

w ogóle nie powinienem tego zauważać, ludziom sukcesu to się nie zdarza, więc może lepiej udać przed sobą, że tego nie dostrzegam? Nie wiem, co mam o tym myśleć.

Kiedyś, na samym początku lat dziewięćdziesiątych jechałem autobusem moją ulubioną ulicą i zastanawiałem się, czy pomalowanie fasady sklepu na jaskrawo-biało może coś zmienić? Biały kolor na kawałku tynku okalającego zakratowane okno i drzwi małego sklepiku z gwoździami wyraźnie odcinał się od brudno-szarej ściany jeszcze przedwojennej kamienicy stojącej w rzędzie innych, takich samych kamienic, z poobrywanymi, nie wiadomo kiedy, może jeszcze w czasie wojny, balkonami. Było to gdzieś w środku upalnego lata, bardzo upalnego, pełnego Słońca, jasności, przejrzystości, pędu dokądś i mnie i otoczenia, pierwszego lata mojego w pełni dorosłego życia i pierwszego lata przemian, lata ostatnich moich wakacji. Dla jednych był to początek życia, dla innych koniec, ale to miałem zrozumieć, a inni odczuć, dopiero później, znacznie później. Na razie właśnie skończyłem studia i miałem ostatnie już w życiu, zafundowane sobie samemu, jeszcze z przyzwyczajenia, wakacje. Plany na przyszłość miałem niejasne, składałem papiery o pracę w kilku miejscach i wszędzie witano mnie chętnie, szukano młodych nie skażonych starym, z którymi można łatwiej budować nowe. Skojarzenia z minioną, podobno dawno, niesprawiedliwością były aż nadto wyraźne, choć tamta niesprawiedliwość mnie nie zdążyła dotknąć, a ta nie miała.

Jechałem, zadowolony, tkwiąc w załączkach licznych błędów, które dopiero miałem popełnić, autobusem, jeszcze linii „C”, do centrum miasta i patrzyłem na sklep z gwoździami, który pamiętałem z dzieciństwa, a który jeszcze wtedy był sklepem z gwoździami, zanim stał się sklepem ze sprzętem wędkarskim, a znajdująca się obok księgarnia najpierw stała się sklepem z używanymi ubraniami, a potem sklepem, którego charakter trudno byłoby mi określić. Ten obraz pomalowanej na biało fasady sklepu utkwiał mi w pamięci. Nie pamiętam ani po co jechałem do miasta, nie pamiętam co było wcześniej ani później, nie pamiętam tamtego dnia, pamiętam tylko mijaną, pomalowaną na jaskrawo-biało ścianę sklepu i słoneczną jasność upalnego dnia.

Nadchodził więc, a nawet już nadszedł, czas zmian. Ich początek. Wszyscy jakby zapomnieli o tym, co było wcześniej, o tym, że w ogóle coś było, przypominanie tego stało się nietaktem, mówienie o tym skazywało na zepchnięcie w niebyt towarzyski, zepchnięcie na margines. O wszystkim co było można było mówić tylko źle. Wszystko, co się stawało było dobre, to było więcej niż oczywiste. Świat stał się prosty – czarno-biały i miał takim pozostać na dłu-

go. Nieśmiało przypominanie o tym, że jednak urodziliśmy się przed godziną zero miało stać się w ogóle dopuszczalne, choć i to jedynie cicho i bez liczenia na potwierdzenie, dopiero za kilkanaście lat. Wtedy wszyscy gnaliśmy naprzód, jakbyśmy od czegoś uciekali. Pamiętam tamtą myśl, że przecież pomalowanie fasady sklepu na jaskrawo-biało nic nie może zmienić i że jeżeli zmiany mają polegać na malowaniu ścian to nigdzie nie dojdziemy. Było to jedno z moich licznych błędnych przekonań. Pomalowanie sklepu na biało może coś zmienić, może zmienić bardzo dużo, może zmienić świat. Może jednych zepchnąć w niebyt, a innych wynieść. Wygrają ci, którzy pomalują swój sklep na biało, nawet jeżeli nie do końca wiedzą, po co. A my wszyscy powinniśmy być gotowi na zmiany, otwarci na nie, gotowi na to, że naraz wszystko do czego się przyzwyczailiśmy, co stało się przez to naszym światem, w którym nauczyliśmy się żyć, w który wrosliśmy, może się nagle zawalić. I albo się do zmian dostosujemy, albo przegramy, zostaniemy zepchnięci przez tych, którzy będą w sobie mieli dość siły, aby się do zmian dostosować, a im mniej skomplikowany mechanizm tym, wiadomo, mniej wrażliwy na zmiany, tym łatwiej się do nich adaptuje.

Kilka lat później, kiedy już zmiany zaszły znacznie dalej i nie polegały tylko na malowaniu ścian sklepów pomyślałem, wspominając tamto wydarzenie, że co mnie to wszystko obchodzi? Jestem dzieckiem tych zmian, dzieckiem tych czasów, odważyłbym się nawet powiedzieć – ich beneficjentem. Tak jest, beneficjentem. W dorosłe życie wchodziłem wraz z nimi i to właśnie te nowe czasy mnie ukształtowały. A że ktoś nie potrafił się do nich dostosować to co mnie to obchodzi? Owszem, współczuję mu, współczuję, ale idę dalej! - myślałem. Takie czasy, nie wolno oglądać się wstecz, trzeba przeć cały czas naprzód, a jak ktoś nie potrafi, to niech się przestawi, albo sam będzie sobie winien! Inni potrafili. I nie czas schylać się nad każdym złamanym kwiatkiem, kiedy tworzy się nowe. Przeżyją właśnie ci, którzy pomalowali swoje sklepy na biało, bo w nich jest siła życia, zdolność dostrzegania nowego, ale, przede wszystkim, zdolność adaptacji, zdolność dostosowywania się do zmian. Do nich należy świat i właśnie oni go tworzą, niezależnie od tego w którym kierunku szłyby zmiany i niezależnie od tego czy tu, czy w innym miejscu, czy teraz, czy kiedykolwiek indziej. A jeżeli ktoś z uporem tkwi w starym, to sam będzie sobie winien, jeżeli ktoś się podda – sam będzie sobie winien, jeżeli ktoś nie znajdzie w sobie dość siły – sam będzie sobie winien – nie świat będzie winien – on sam. I że co – że tak nie można? Można, można, myślałem. Nie raz już tak było i pewnie będzie. Ktoś powie, że to nie jest sprawiedliwe? Niech mówi, niech nawet krzyczy. Nowe i tak będzie szło naprzód, będzie parło jak walec, uparcie i bezrefleksyjnie, nie zważając na takie krzyki, nawet ich nie słysząc, bo to krzyk starego. A kto stanie na drodze walcowi? A czego się spodziewaliście? Sami nie wiecie? Że łatwo mi

tak mówić, bo ja na tym skorzystałem? Skorzystałem na zmianach, które was zgmiotły? Bo po mnie walec nie przejechał? Bo nie musiałem się dostosowywać, a kto wie, co by było, gdybym musiał, może też nie dałbym rady? Tak, macie rację, myślę, że nie dałbym rady. Byłbym kolejnym przejechanym, dołączyłbym do was. I krzyczałbym. I szukałbym szansy na ucieczkę spod walca, czepiał się każdej okazji, żeby z tego wyjść, mimo, że krzyczałbym, że to nowe jest niesprawiedliwe szukałbym każdej okazji, żeby się w to nowe wpisać, żeby wyjść z marginesu, z cienia, w który byłbym spychany, póki jeszcze czas, póki jeszcze można, póki jeszcze jest szansa, póki nie jest za późno. Robiłbym to ze strachu, z niewiary, że krzyząc mam rację, chciałbym mieć rację, ale rację idącą w parze z nowym, a nie przeciw niemu. Jeżeli nie mogę z czymś wygrać, dostosuję się do tego. Że to konformizm? Nie, to chęć życia. Chęć parcia naprzód, a nie tkwienia z uporem na przegranej pozycji. Przegranej? A może tylko zabrakłoby mi wiary? A może, choć to niegodny argument, tylko byłbym już zmęczony? A może potem, myślałem, będę patrzył na was i jakoś wam zazdrościł, choć się do tego nie przyznam? Może. Ale nie wiercie mi, zdradziłem was. I zdradziłbym, niech mi Pan wierzy, byłem wtedy tego pewien. Wyparłbym się siebie, żeby tylko nie mieć poczucia przegranej, żeby za wszelką cenę iść po drodze wyznaczonej przez czas. Nawet po własnym trupie.

Wtedy, w tym autobusie, byłem jednak dopiero na początku drogi, wiele jeszcze było przede mną, wszystko było przede mną. Autobus warczał, gumowy przegub skrzypiał na nierównościach drogi. Mógłbym oczywiście powiedzieć, że wszyscy w nim gdzieś jechaliśmy, do różnych miejsc, w różnych celach i że niektórzy wysiadali jeszcze na peryferiach, inni w centrum, a inni jechali nim do końca. Gdzie kto wysiadał nie miało jednak żadnego znaczenia. Nie od tego zależy nasz los. Gdziekolwiek byśmy nie wysiedli, nie od tego zależy nasz los. Nie zmienia to faktu, że ja jednak wysiadłem w centrum zmieniającego się miasta i wszedłem w nie. Kiedy i ja zacząłem dostrzegać, że jednak nie urodziłem się w roku zero? Ci, którzy naprawdę urodzili się w roku zero są już prawie dorośli. Wchodzą w dorosłe życie. Za kilka lat to oni będą jechali autobusem w słoneczny dzień, w samym środku upalnego lata, w ostatnie już, niestety, wakacje.

Tak, wtedy to co mijало mnie było niezauważalne, mijalo to mijalo, to było bez znaczenia, nie oglądałem się ani za siebie, ani na boki. Nie zauważałem niczego, z wyjątkiem tego, co było przede mną. Nie ja jeden, choć to nie usprawiedliwienie.

Wielu było takich, którzy nie przystosowali się do zmian, których światy się rozpadły, którzy nie potrafili nie oglądając się za siebie dostosować się do rzeczywistości wymagającej wyparcia się tego co było, iść naprzód w zupełnie nowych warunkach, którzy nie mieli dostatecznej zdolności do adaptacji i którzy tym samym zostali zepchnięci na margines i skazani na wymarcie, bo nikt nie miał pomysłu, co z nimi zrobić, nikt nie wyciągnął do nich ręki, a sami nie potrafili sobie poradzić. Czy ja na ich miejscu bym potrafił? A Pan? Wielu jest ludzi, którzy nie potrafili zacząć wszystkiego od początku, którzy zbyt mocno wrosli w poprzednią rzeczywistość, przystosowali się do niej, przyzwyczaili, i kiedy ich świat się rozpadł nie potrafili się już podnieść. Z racji wieku, skostnienia, przyzwyczajenia do innego systemu wartości? Czy można przekreślić czyjeś życie? Może z biegiem czasu dopiero zaczynamy sobie zdawać sprawę z tego, co spotkało innych, dostrzegamy ciężar sytuacji, w jakiej się znaleźli i zastanawiamy się, jak my sami byśmy się w takiej sytuacji zachowali? To, że w niej nie byliśmy nie oznacza, że nie zostaniemy w niej jeszcze kiedyś postawieni. Czy damy sobie wówczas radę, czy zachowany w sobie dostateczną dozę elastyczności? Czy powinniśmy już teraz o tym myśleć, czy możemy sobie pozwolić na to, żeby o tym nie myśleć? Czy ktoś nam daje gwarancje na przyszłość, patent na niezmienność? Czasami myślę, że byliśmy świadkami rozpadu wielu ludzkich światów i powinniśmy zachować w sobie ostrożność, nieufność, jakiś zapas elastyczności na wszelki wypadek. Na wszelki wypadek i już do końca.

Myślę, że z wiekiem zaczynamy kostnieć, boimy się zmian, zbyt dużych zmian, ryzyka zaczynania od początku. Mówimy sami sobie: w tym wieku nie zaczyna się wszystkiego od początku, już nie w tym wieku, okopujemy się i bronimy naszych pozycji, ze strachu, z wiary w moc schematów, z niewiary w siebie. Poddajemy się. Kiedy to zrobimy jest już po nas. Już rzeczywiście nic się nie wydarzy. Już tylko będziemy trwać. Już nas nie ma i nie będzie. Już w istocie umarliśmy. Już zamknęliśmy się na świat, a każdy większy, prawdziwy wstrząs, może nas zniszczyć, bo tracimy zdolność regeneracji, adaptacji. A nie mamy gwarancji, że się nie zdarzy. Wyjdziemy z domu i ten dom się za nami zawali, i nie będziemy potrafili zacząć wszystkiego od początku, od zera. Tacy już jesteśmy, tacy się stajemy, z wygody, przyzwyczajenia, strachu, wiary w schematy, taki, czuję to, i ja się staję. Nasza siła lub słabość tkwi w nas samych, nie przychodzi z zewnątrz. To my sami tworzymy własne światy, to nie świat stwarza nas. Żyjemy raz, i nigdy nie jest za późno na zaczęcie od nowa, na pójście inną drogą nie jest za późno dopóki sami w to nie uwierzemy. Wtedy rzeczywiście będzie za późno. A przecież dorosłość nie polega na skostnieniu. „Dorosłość” to tylko słowo. Co to znaczy być „dorosłym”? To znaczy kim? Istniejemy tylko my, z naszymi losami, różnymi, indywidualnymi losami, nawet

jeżeli we fragmentach, w całych rozdziałach, podobnymi. Podobnymi, a jednak jednostkowymi, bo każdy z nas jest inny. Na szczęście. Nie zabijamy sami dzieci w sobie. Zabijając dzieci w nas nic nie zyskujemy, poza złudnym poczuciem wyższości, już-wtajemniczenia. Zabijając dzieci zabijamy siebie, istnieć możemy tylko jako dzieci. Jesteśmy tylko dziećmi, albo nas nie ma.

Może tak. Z tym też przychodzę do Pana. Czym powinienem się kierować? Kiedy patrzę na, jak sobie to coraz częściej uzmysławiam, odległe, coraz odleglejsze, czasy, kiedy byłem dzieckiem wydaje mi się, że świat był prostszy, a może tylko wydawał się prostszy – istniały wskazówki, co wolno, a czego nie, co jest słuszne, a co nie, co jest błędem, a co nie, świat był bardziej jednoznaczny. Czy wraz z doświadczeniami świat traci na jednoznaczności? Czy dawne, oczywiste zasady, co jest dobre, a co złe, co powinniśmy robić, jak powinniśmy postępować, przestają obowiązywać? Dlaczego? Świat coraz bardziej się zaciera, jednoznaczne, jasne i nieprzekraczalne granice stają się przekraczalne, rzeczy niedozwolone stają się dopuszczalne, a sama ich niedozwoloność traci na jednoznaczności, choć przecież zasady się nie zmieniły, sami je wpajamy naszym dzieciom. Tak jakby było łatwiej nam je naginać, jakbyśmy to my się zmienili. Czy powinniśmy się na to godzić? Czy ja powinienem zadawać takie pytania, kiedy inni ich nie zadają? Kiedy nie zadają ich już od dawna? Czy to ja jestem niedostosowany, czy może za bardzo zawierzyłem zasadom? Czy stawianie takich pytań nie jest dowodem niedojrzałości, niebezpiecznej niedojrzałości dorosłego dziecka? Nawet nie śmiem postawić takich pytań innym. A Pan, odważyłby się Pan je postawić swoim znajomym? Gdybym to zrobił uznali by mnie za dziwaka, za nie dostosowanego do oczywistych przecież praw codzienności, do oczywistych wymagań praktycznych, do których wszyscy się dostosowują, co czyni dyskusję na ten temat zbędną. Potrafiłby Pan pójść przeciw wszystkim? Miałby Pan dość wiary w słuszność tego, co Pan robi, dość odwagi i siły na zniesienie konsekwencji? Nie jako nastoletni człowiek, któremu się wiele wybacza i na którego patrzy się jeszcze z wyrozumiałością, ale jako człowiek dorosły, na którego patrzy się inaczej, który jednocześnie ma coś do stracenia i który ma świadomość własnego wieku, coraz szybciej upływającego czasu i tego że zaczynanie wszystkiego od początku nie jest łatwe? Ja się boję. Czuję ciężar takiej decyzji, przewiduję jej możliwe konsekwencje i boję się. I z tym strachem też przychodzę do Pana, przychodzę do Pana, bo nie mam do kogo.

Kilka lat temu wyjechałem z większą grupą dalszych znajomych na sylwestra na południe kraju do przerobionego na hotel pałacu w małej miejscowości – małej wsi – wioski właściwie, dawniej posiadłości Radziwiłłów, choć czy to teraz ma jakieś znaczenie? To już tylko historia, o której ja pamiętam

tylko dzięki mamie, która w dzieciństwie, kilkadziesiąt lat temu, zaraz po wojnie, a może jeszcze w jej trakcie, odwiedzała swoją rówieśniczkę w tym właśnie pałacu, mocno już teraz przebudowanym i dostosowanym do pełnienia nowej funkcji. Wieczorem zeszliśmy wszyscy do kawiarni hotelowej, może baru, trudno to określić, na piwo, niektórzy na wódkę-drinki. Młoda, niewątpliwie ładna, co równie niewątpliwie zostało dostrzeżone, barmanka, podawała nam piwo i drinki z równie niewątpliwie uroczym uśmiechem. Jej uśmiech. Wyuczony tak, że wyglądający na naturalny. Przypominał uśmiech sprzedawców w centrach handlowych. Uprzejmy, przyciągający, pociągający nawet, ale pusty, bez treści, nie kryło się za nim nic, co zwykle kryje się, czy powinno kryć się, za uśmiechem, w rzeczywistości nic nie wyrażał, był tylko grymasem. Może niepotrzebnie pozwalam, aby utrzymywało się we mnie przeświadczenie, że gesty człowieka, wyraz twarzy czy słowa powinny znaczyć to, co zdają się znaczyć. Że nie wszystko jest na sprzedaż, że piękno to nie proszek do prania, miłość to nie kubek jogurtu, a szczęście to nie nowy samochód. To nie są tylko słowa, zbiór liter, to zbiór liter używanych na oznaczenie czegoś, co już nie jest tylko słowem. To jedne z podstawowych pojęć porządkujących świat, wyznaczających jego strukturę, to konstrukcja nośna świata, ich nadużywanie prowadzi do devaluacji nie słów, ale tego, co one oznaczają, do zachwiania konstrukcji, naruszenia jakiegoś podstawowego porządku istniejącego nie tylko tu i teraz, choć niekoniecznie odwiecznego, ale istotnego dla każdego człowieka, wyznaczającego sposób, w jaki patrzymy na świat. Co mnie to jednak obchodzi, myślę sobie czasami, nie będę zbawiał świata, tacy, co próbowali zbawiać świat, kończyli źle, świat nie jest sprawiedliwy, jest grą indywidualnych egoizmów więc trzeba być egoistą mocniejszym od innych, bardziej skutecznym w nieustannej walce o swoje, o powiększanie własnej „kupki”. Boję się myśli, że jednak nie, że nie można wobec pewnych rzeczy przechodzić obojętnie, zostawiać ich innym i skupiać się tylko na sobie, niezależnie od konsekwencji, że właśnie być może to jest kwestią podstawową, którą gubimy w powszechnej pogoni za tym, co otumanieni codziennym pośpiechem, wszechobecną modą i własnym strachem przed odstawaniem od innych, dajemy sobie wmawiać przez innych, w istocie równie, a może jeszcze bardziej, nieświadomych tego, co robią.

Czy przychodzą do Pana ludzie, którzy mają problem ze swoim wiekiem? Ja jakoś nie czuję się tak, jak uważam, że powinien czuć się ktoś, kto skończył już tyle lat, co ja, nie postępuję tak, jak wydaje mi się, że powinien postępować ktoś w moim wieku. Właściwie jak powinien postępować ktoś w moim wieku? Pamiętam jeszcze dobrze czasy dzieciństwa, wspomnienia nadchodzą same z siebie, dziwne luźne skojarzenia-przypomnienia, są potrzebne, przypominają mi kim jestem, określają moją tożsamość, mój los, mój świat, tak, to ja jestem

tym dzieckiem bijącym się z Cyganami, patrzącym na zachód słońca wczesną wiosną, budującym szałas z urwanych gałęzi, czemu pewnie sprzeciwili by się teraz eko-terrorysty, palącym ogniska, do tej pory czuję zapach schnących w upale gałęzi szałasów, zapach dymu, zapach butwiejących jesienią liści, zapach wody... Sentymentalizm czy potrzeba odnalezienia samego siebie, którego gdzieś po drodze zgubiłem, zatraciłem, w pogoni za światem, pogoni pełnej strachu przed zmarginalizowaniem, w pogoni za tym, co określa się jako sukces, a co ma wyraźny wymiar materialny, tak wyraźny, że wyłączny. Gdybym go wreszcie osiągnął poczułbym się dobrze i pewnie, a potem... potem zacząłbym szukać czegoś innego, jeżeli nie byłoby już za późno, jeżeli nie pozostałyby mi już tylko wspomnienia zapalanych wieczorami latarni na drewnianych słupach w podmiejskiej willowo-leśnej okolicy. Kim jestem? Jestem dorosłym człowiekiem, któremu nie przystoją takie myśli, który nigdy się do nich nie przyzna przed innymi, który będzie brnął dalej, będzie, bo nie ma innego wyjścia, bo jest dorosły i powinien postępować, jak dorosły, bo nie jest idiotą, bo boi się zmarginalizowania, bo boi się klęski, znaczących spojrzeń sygnalizujących liściowe przemilczanie, bo boi się ryzyka pójścia własną drogą wbrew innym, wbrew schematom. Własne drogi zawsze są ryzykowne. Mogą nas zaprowadzić daleko, albo donikąd. Może jednak warto? Wspomnienia, jak fala, w końcu do nas powrócą, dopadną nas, każą spojrzeć wstecz. I co wtedy? Co wtedy z tymi świerszczami zabijanymi w upalny letni dzień okładką książki. Zabijanymi bez poczucia wartości życia, jego niepowtarzalności, zabijanymi bezmyślnie, bo to przecież zabawa. Teraz odganiem świerszcze od ogniska, wyciągam ślimaki przyćpione do gałęzi. To tylko strach przed śmiercią. Własną. Świadomość upływającego czasu i wartości życia. Wszelkiego.

Wiem, że jestem tu i teraz. Przeżyłem, co przeżyłem, tego już nie zmienię, to czas przeszedł, nagle i szybko przeszedł i zamknięty. Kiedy miałem dwadzieścia lat, ktoś dorosły powiedział mi, że następne dwadzieścia lat miną mi niezauważenie. Nie uwierzyłem, przecież dwadzieścia lat to było całe moje życie, którego początki ginęły w mrokach niepamięci, potem z mgły wyłaniały się jakieś pojedyncze obrazy, nie do końca realne, jakby przemieszane ze snami, a potem było całe moje długie życie. On już nie żyje. Umarł nieświadomy, że umiera. Jego prochy wciśnięto w róg cementarza, jedyne wolne miejsce, w róg pomiędzy inne groby, wszystko jest kwestią ceny. W kościele pożegnalną pieśń odśpiewał mu drugi mąż jego pierwszej żony, mój ojciec. Kiedy z moją pierwszą żoną szukaliśmy zaraz po ślubie mieszkania do wynajęcia on w tym pośredniczył. Wziął od nas prowizję, stanowiącą istotną część moich zarobków. Niech mu ziemia lekka będzie. Moja córka formułuje myśli jak dorosły więc traktuję ją jak osobę dorosłą. To tylko pozory jednak, jest dzieckiem i musi jeszcze przejść długą drogę,

na której chciałbym ją chronić, choć może nie powinienem, a może po prostu nie jestem w stanie. Jest wiedza nieprzekazywalna. Każdy z nas musi przejść własną drogę, popełnić własne błędy, nauczyć się wszystkiego na samym sobie, i tak samo nie będzie w stanie przekazać zdobytej wiedzy swoim dzieciom, mimo usilnych starań, aby uchronić je przed własnymi błędami. Kiedy nasze dzieci to rozumieją, dla nich będzie już za późno, może właśnie dlatego że będą za późno będą w stanie to zrozumieć...

Chciałbym, żeby Pan spojrział na mnie z zewnątrz, żeby ocenił Pan, czy ze mną wszystko w porządku, czy w chaosie i niepewności rzeczywistości gdzieś nie zabłądziłem, nie zszedłem na drogę prowadzącą donikąd, a może nie ma żadnego chaosu, może chaos jest tylko we mnie? Przyszedłem do Pana jak do drugiego człowieka, jak do obcego, z którym już nigdy więcej się nie spotkam, więc mogę powiedzieć mu dużo. Powiedzieć i usłyszeć. Przyszedłem po wskazówki, jak inni przychodzą do księdza...

*

Za oknem w pomarańczowym świetle latarni skrzy się śnieg. Musi być mróz. Wpatruję się w migotające z każdym ruchem głowy rozszczerzone w płatkach śniegu światło. To pierwszy śnieg w tym roku. Późny listopad. Nagie gałęzie drzew i ten śnieg. Pusta ulica. Pałace się w oknach domów naprzeciw światła dodają otuchy. Chronią przed samotnością. Tak jak wspomnienia. Jak gonitwa za codziennymi sprawami. Zgasilem w pokoju światło i przysunąłem się do okna. Długie cienie uschniętych tui przecinały głębokie ślady psich łap. To Biszkopt i Figaro bezrefleksyjnie zaburzyli zimną, idealną, powierzchnię śniegu, chaotycznymi śladami życia...

II MIEJSCE W KATEGORII PROZY
NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY
POWIATU LĘBORSKIEGO

JOANNA MARAT

MEDIEWISTKA

Czy jesteś Joanną H. z Krakowa? Pytam, bo brzmisz znajomo. Jeśli nie, to bardzo chciałbym cię poznać. Jestem o osiem godzin lotu stąd. Pozdrowienia. Ksawery.

Długo czekałam na kogoś takiego. Zmęczonego życiem na emigracji. Zmęczonego życiem w ogóle. Niestety nie jestem Joanną H., tą z Krakowa i na szczęście nie muszę napisać ci prawdy o sobie. Pewnie nie chciałbyś ze mną rozmawiać. Przyjmijmy, że ja jestem Juana la Loca, dobrze? Na potrzeby naszej korespondencji wyciągnę z zakamarków mojego twardego dysku wspaniałą, kostium ze słów i z marzeń. Zaprojektowałam go jakiś czas temu. Teraz mogę go założyć i mieć nadzieję, że jeszcze się do mnie odezwiesz. Może wyda ci się, że jestem słodką blondynką o buzi dziecka? Intuicyjnie wyczuwam w tobie kogoś, kto nie potrafi przejść obojętnie obok takiej blondynki, nieprawdaż? Długonogiej, nieco anorektycznej.

Joanna H., ta z Warszawy, jest posiadaczką nóg niezbyt długich, natomiast jej włosy wpadają w szlachetny odcień miedzi. Całości dopełniają okulary w grubych, rogowych oprawkach. Wybrała je z premedytacją, żeby postawić kropkę nad „i”. Żeby pograżyć siebie jako kobietę ostatecznie i nieodwołalnie. I żeby nie było żadnych wątpliwości, że ona nadaje się wyłącznie do celów naukowych. Bowiem Joanna H. oddała się mediewistyce z rozmysłem i po głębokim namyśle. Żeby na nic innego w jej życiu miejsca nie było. Wśród bibliotecznego kurzu przybywało jej lat i dioptrii. Pudełka z fiszkami z coraz większą pewnością siebie rozpychały się po asystenckim pokoju, gdzie mieszkała od mo-

mentu ukończenia studiów historycznych. Z wyróżnieniem i nagrodą rektorską za rozprawę o królewskich itinerariach. W końcu sama musiała ustalić swoje itineraria, jako że w jej pokoju wszystko było nieporządkiem i nadmiarem.

Niewiele z tego nadmiaru wynikło. Zaledwie skończony pierwszy rozdział i zarys dwóch następnych. Pół życia na to poświęciła. I pewnie za to wylali ją z uczelni. Tak po prostu, z dnia na dzień. Za te pół życia spędzone w bibliotekach. I za cztery dodatkowe dioptrie i za to, że już nigdy nie będzie młoda i obiecująca.

I wtedy umarł stary H., jej ojciec. Z powodu niewydolności nerek. Całkowitej i nieodwracalnej. Podobno to u nich rodzinne, ta niewydolność. Niekoniecznie nerek. Chociaż, kto to może wiedzieć, co jest, a co nie jest dziedziczne w rodzinie H.?

Joanna z całą pewnością była niewydolna. Nie rokująca żadnych nadziei na bycie przy nadziei. Za stara nawet na to. Bez żadnego dorobku naukowego. Nie licząc paru artykułów. Po francusku. Nawet z akademika kazali jej się wynieść. Dobrze, że mogła zamieszkać w kawalerce starego H. Dwadzieścia sześć metrów. Za Żelazną Bramą Od świtu jazgot śmieciarek i gonitwy karaluchów. I dzieci. Też jazgot, gonitwy, bluzgi. I tak do późnej nocy. Gdzieś tam został jej otwarty przewód doktorski o królewskich itinerariach i snach. A ona zamiast dokończyć to, co zaczęła przed laty, wpatruje się w ekran komputera. Czatuje. Tylko nie wiadomo na co. Na kogo?

Ale tej nocy chyba jej się powiodło. Znalazła go. Ten mężczyzna brzmi ciekawiej, a w każdym razie inaczej niż całe to stado buraków, cuchnących potem lub tanią wodą po goleniu. To może jest ON. Ktoś, dla kogo można by oszaleć. A jeśli nie oszaleć to przynajmniej poudawać, że jest się kimś innym. Nie Joanną H. z krótkimi nogami i bez doktoratu, lecz Joanną H., tą z Krakowa, która może stać się marzeniem każdego mężczyzny. Platynową blondynką. Drobnokościstą, dziewczęcą. Z buzią jak u anioła. I z anielskimi włosami. A on niech się tego wszystkiego domyśla, niech się gubi w domysłach. To znakomite zajęcie dla samotnego mężczyzny, który już nie jest młody.

Joanna H. odchodzi od komputera. Zaraz pójdzie do łazienki się umyć. Gdy zapali światło, karaluchy rozbiegną się po kątach. Obrzydlistwo. Blokowisko. Późny gomułka, wczesny gierek. A może jedno i drugie. Nie, nie pójdzie do łazienki. Jeszcze nie teraz. Za wcześniej. Najpierw napije się herbaty. Godzina zero dwadzieścia pięć. Ktoś wrzeszczy na korytarzu. To normalne. Wszak po to są korytarze, żeby wrzeszczeć i budzić niepokój samotnej kobiety. To pewnie jakieś małolaty narabane. A może kogoś zarzynają? Pijany mąż pijaną żonę, na przykład. Trudno. Żelazną zasadą za Żelazną Bramą jest nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. Ojciec nawet czajnika elektrycznego sobie nie kupił. Pewnie ze skąpstwa. Postawiła wodę na gazie w starym, okopconym czajniku, który pamiętała

z dzieciństwa. Woda oligoceńska. Podobno wcale nie lepsza od tej z kranu.

Jeszcze raz spojrzała na monitor. Chciałby ją poznać. Tak napisał. Wolne zarty! Imię arystokratyczne, albo pretensjonalne, albo jedno i drugie. W każdym razie inne. Szlachcic, arystokrata. Jak ci od itinerariów. Sztywni i wyniośli. Pełni pogardy dla motłochu. Właściciele latyfundiów i zamieszkujących tam ludzi. Panowie życia i śmierci. Moźnowładcy.

I co z tego, że jesteś? Możesz sobie być i o dwadzieścia godzin lotu stąd, na końcu świata możesz przebywać. Z Aborygenami w Australii tańczyć możesz. Ale imię masz ładne, pasuje do nazwiska. I brzmisz ciekawie. Takiego brzmienia szukałam od dawna, prawdę mówiąc. I chyba znalazłam. U ciebie. Więc odpiszę na tego maila. Chociaż nie jestem pewna, czy powinnam. Bo ja nie mam w zwyczaju rozmawiać z nieznanymi. Mam zasady. I w zasadzie ich nie łamię. Zasady są potrzebne i wygodne. Żyć bez nich nie sposób.

Może już pójdzie spać. Dochodzi druga. Miasto uśpione, cisza. I tak o szóstej rano obudzi ją sąsiad, włączając radio na cały regulator. Przed snem powinna się umyć, a w łazience karaluchy. Zresztą wszędzie karaluchy. W tym bloku więcej jest karaluchów niż ludzi. Znacznie gorszych od karaluchów, trzeba przyznać.

Dość już tego, pora spać. Bez mycia. Żeby nie wchodzić do łazienki. Żeby nie widzieć karaluchów. Żeby nie psuć sobie smaku. Karaluchy pod poduchy. Już mnie nie ma. Dobranoc, Książę.

Bardzo jesteś pełna zasad, widać, że lubisz sobie zadawać trochę bólu w życiu. Św Bernard z Clairvaux powiedział tak: ecce si vir cecidit per feminam, iam non erigitur nisi per feminam – Szukasz rozmowy z innymi i uciekasz. Nie wszyscy na świecie są niebezpieczni, rozmowa nic nie znaczy, a czasem może pomóc. Ksawery.

Co chciałeś mi powiedzieć między wierszami, cytując św. Bernarda? Że wykształcony jesteś. To już wiem. I wiem jeszcze, że chcesz, żebym myślała, że szukasz pocieszenia. W moich słowach, a nawet, kto wie, w ramionach moich. We mnie. Tak mam myśleć, choć przecież Bernardowi niezupełnie o ten rodzaj pocieszenia chodziło. Sentencja jest o czym innym i tak się składa, że oboje wiemy, o czym. Ale ty chcesz, żebym pomyślała, że jakaś nieczuła kobieta cię skrzywdziła, a teraz ja mam ci pomóc powstać. A przecież dobrze wiesz, że to mnie potrzeba czułości. Męskiego ramienia. I że jestem łatwą zdobyczą. Masz ochotę się zabawić, tylko nie wiesz, czy warto. Prosisz mnie o zdjęcie. Więc dość już tej durnowatej korespondencji! A zdjęcie możesz sobie obejrzeć, jeśli tak ci na tym zależy. Jest w Internecie, wystarczy dobrze poszukać. Ale odpowiadać na twoje maile nie będę. Farewell Xavier, farewell!

Tak, dość tego. Nie będę się uzależniać od jakiegoś podstarzałego amanta, co siedzi przy komputerze o osiem godzin lotu stąd i pozuje na intelektualistę,

marząc o długonogiej blondynce, z którą mógłby się przespać, o ile jeszcze cokolwiek może w tej dziedzinie. Ksawery P., lat 55. Moźnowładca. Niech sobie popatrzy na jej zdjęcie. W Internecie. Zrobione w zeszłym roku, na dorocznym zjeździe mediewistów w Leeds, gdzie była moderatorką jednego z warsztatów. W rogowych okularach, z włosami ostrzyżonymi krótko, na chłopaka. Niech popatrzy w jej ciemne, inteligentne oczy. Niech się domyśli, że nie ma długich nóg, że jest drobna, filigranowa, delikatna. Nie w jego typie. Niech to wreszcie zobaczy i przestanie odpisywać na jej maile.

Zamiast z nadzieją wgapić się w monitor, pójdzie teraz do łazienki, stawi czoła karaluchom, wejdzie do pokrytej rdzą wanny, weźmie prysznic. A potem zrobi sobie kawę. I wreszcie popracuje nad CV. I zadzwoni do matki – wariatki. Może nawet się do niej wybierze, chociaż nie była w mieszkaniu swojej rodzicielki od lat. Ilu? Trudno powiedzieć. Wielu, zbyt wielu. Więc może jednak najpierw ulepszy CV, a potem w nagrodę za poświęcenie i trud sprawdzi pocztę. Ksawery pewnie jeszcze nie odebrał jej maila. I nie zobaczył zdjęcia w Internecie, jeszcze się łudzi, że kobieta, której właśnie zaczął zawracać głowę ma na tej głowie burzę wspaniałych blond loków i najwyżej dwadzieścia cztery lata na liczniku. Jeśli jednak już się obudził i przeczytał jej ostatni pożegnalny komunikat, a co gorsza zajrzał pod wskazany przez nią internetowy adres, wie już wszystko. Wie, że jego korespondentka, nie jest warta uwagi. Bo nie ma już dwudziestu lat, blond czupryny i niebieskich oczu. Tylko ciemne, pełne powagi i doświadczenia. To ostatnie najbardziej jej ciążyło. Doświadczenie. Ale także niedoświadczenie w sprawach wiadomych, na których się nie znała z powodów oczywistych. Login, hasło. I oto jest! Odpisał, mimo wszystko. Nie spodziewała się tego.

Miła Joanno, dziękuję Ci za zaufanie i za zdjęcie – jesteś ładna, skupiona, podobasz mi się. I nie żegnaj się, bo chciałbym się z Tobą zobaczyć za kilka miesięcy, kiedy będę w Polsce. Odpisz proszę. Ściskam. Ksawery

Spotkanie za kilka miesięcy. Też coś. Żadnych spotkań nie przewiduję ani teraz, ani za kilka miesięcy. Zaletą tej znajomości jest dystans, owe osiem godzin lotu, które łatwo zmienić na osiem tysięcy kilometrów, jak w baśniach z tysiąca i jednej nocy. Odległość nie do przebycia, nie do pokonania. I oto właśnie chodzi, żeby nigdy się nie spotkać! Żadnych marzeń, panie Ksawery, żadnych marzeń. A swoją drogą i ty mógłbyś jakieś zdjęcie nadesłać, co bym Cię mogła ujrzeć!

Popatrzyłem jeszcze raz na Twoje zdjęcie dzisiaj – trzymasz głowę jak „Primavera” Boticello. Kiedyś znałem kogoś, kto tak przechylał głowę... fajne zdjęcie. pa Ksawery.

Bezsenność z Oceanu. Pisze, że nie może spać od lat I jak tu porzucić taką korespondencję? No jak? Po prostu się nie da. Nie da się i już. A przecież powinien! Z braku lepszego zajęcia napisze do niego kolejnego maila. Przecież i tak nie

ma nic do roboty. Po co pisać jakieś bzdurne CV? Po co starać się o pracę w archiwum, po co w ogóle pracować? Po co dzwonić do matki, która niczego od niej nie oczekuje. A tym bardziej ona od matki. Lepiej korespondować z bezsensnym możnowładcą, który już chyba wyzbył się złudzeń w sprawie jej wyglądu.

Tamtego dnia napisała trzy maile pod rząd. Nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Ani słowa. Więc napisała po raz czwarty, pytając wprost i bez ogródek, czy aby jej korespondent, nie jest trochę zmęczony odpowiadaniem na jej wołania o pomoc.

Nie jestem trochę zmęczony. Pierwszego dnia zawsze jestem bardzo, bardzo zmęczony i nie jestem do cholery zmęczony odpowiadaniem na Twoje e-maile! Jak będę to Ci to napiszę. Teraz jest dziesiąta rano, spokój w pracy, przestaje mnie łupać w głowie i mogę trochę napisać. Przeuroczy chudeusz jesteś! Śliczny masz uśmiech. Bardziej podobałabyś mi się w długich włosach – nie wiem, to chyba taka atawistyczna macho preferencja. Dziś wieczorem dźwignę tylko melatonin i zobaczymy, co będzie. Jest też taki trick (sposób number 35 a –urwać się z roboty i wystawiać twarz na słońce aż do spalenia – u nas słońce jest b. ostre), wtedy wydzielanie melatoniny naturalnej cofa się b. mocno i organizm nie próbuje kompensować za nie wydzieloną noc, a wieczorem jest lepiej. Zrobiły mi się od tych praktyk ciemne plamy na nosie. Muszę przerwać cdn. za 20 minut...pa.

Najważniejsze, że przysłałeś mi zdjęcie. Nie wyglądasz na swoje lata. Śliczny masz uśmiech, taki słoneczny, rozbajający. Pewnie nie raz ratował Cię z opresji, ten uśmiech. A do tego włosy w kolorze miedzi. I czoło takie wysokie. To przez te włosy, które uciekają coraz wyżej i wyżej. Tylko, dlaczego nie możesz się pogodzić z tym, że łysiejesz? Dlaczego to maskujesz? Zaczesusujesz. Robisz pożyczki. Przecież to śmieszne i nie w twoim stylu! A jednak chyba się zakocham. Po raz pierwszy w życiu. Właśnie dlatego, że masz słabości, nie tylko te, o których mówisz otwarcie, ale także te zaczesane. Bardzo mi kogoś przypominasz. Kogoś ważnego...

* * *

– Jedno jest pewne, to już nie potrwa długo – to banalne stwierdzenie profesora Jerzego Pączka zapadło Joannie w pamięć.

A przecież jeszcze tak niedawno grał w tenisa... Jednak widok małej poduszki w łosiosowej powłoczce w czarny rzucik pod głową ojca, był dla niej sygnałem, że to już naprawdę koniec. Ta powłoczka towarzyszyła mu przez całe życie, od momentu, gdy w nie do końca jasnych okolicznościach pojawił się w domu Bronisławy Szabli na Woli. Łosiosowa powłoczka pochodziła z czasów, które mało kto pamiętał. Była pocerowana i wytarta, lecz ciągle trwała w ro-

dzinie. Nikt nie ośmieliłby się jej wyrzucić, ani podrzeć na szmaty. Bronisława Łągwa primo voto Szabla, po drugim mężu H., zawsze kładła ją pod głowę chorym, lub śmiertelnie przerażonym. Wtedy na początku 1943, lub może raczej pod koniec 1942 też ją wyjęła z bieliźniarki, by powlec małą poduszkę, dla chłopca o wystraszonych oczach, którego ktoś przyprowadził do jej mieszkania. Na przechowanie.

Czterdzieści lat później, pozbawiona włosów, niemalże zmumifikowana głowa Bronisławy H. spoczywała na poduszce obleczonej w łososiową powłoczkę. Ale to jeszcze nie koniec historii. Całkiem niedawno stary H. poprosił swoją jedyną córkę Joannę o przysługę:

- Przynieś mi z domu małą poduszkę, w tej powłoczce, no wiesz...
- W której?
- Jak to w której, w tej różowej. Co za pytanie!

Teraz Joanna trzyma ją w szafie. Na specjalną okazję.

Dość tego mailowania! Przecież to już jest uzależnienie od humorów i nastrojów Bezsenego, który nie wiadomo dlaczego wciąż odpowiada na jej coraz bardziej niecierpliwie wezwania. Wbrew zwątpieniu i zniechęceniu w jej skrzynce raz po raz pojawiały się wiadomości opatrzone prowokacyjnymi tytułami.

Przytulam Cię czy tego chcesz, czy nie albo dziewczyna paryska (to o niej!) albo *Joanno, nie uciekaj czasem* (znowu do niej, ponieważ co jakiś czas żegnała się z nim raz na zawsze) albo *Joanna trafia w sedno po raz pierwszy* (to o seksie), albo *trzecie poważne pożegnanie* (po tym, jak po raz kolejny ogłosiła definitywne zerwanie raz na zawsze).

Nie pamiętała, żeby ją ktoś kiedyś przytulił. W rodzinie H. nie było takiego zwyczaju. Żadnych czułości. Co innego sprać dzieciaka po tyłku. Pasem. Albo po pysku za pyskowanie. I jeszcze nawrzeszczeć. Trzasnąć drzwiami. To zdarzało się często. Ale żeby przytulać, całować, głaskać po głowie?! Na takie dziwactwa i niedorzeczności nie było zapotrzebowania. Piekło, czyściec, sąd ostateczny. Raju na ziemi, jak wiadomo, nie ma od dość dawna. O ile w ogóle kiedykolwiek był. Zdaniem matki nie było. Bo życie to piekło. Stary H. miał w tej kwestii nieco inne zdanie, ale kto by go tam słuchał?!

I chudacie miły przestań w kółko przepraszać, że żyjesz – dzięki za zaufanie (e-mail o przytulaniu). Przytulam Cię, bo mam dla Ciebie taki wirtualny rodzaj czułości. Dziś nie spałem – zaczyna się kolejna trzydniówka, jak u alkoholika. Będzie dobrze, ale jestem na razie tak zmęczony, że nie mam siły pisać. napp. więcej jutro, całuję K.

Bezseny zauroczył ją. Jego słowa miały niezwykłą moc. Słowa internetowego mężczyzny posmarowane były miodem, pachniały lawendą i macierzanką. I były skierowane do niej. Tylko do niej. Ciągle sprawdzała pocztę. Ale on w końcu zamilkł. Pewnie znudziły go te pożegnania, które domagały się

czułości. A ona przestała jeść i ze spaniem było coraz gorzej. Trzydniówka, jak u alkoholika. A może on jest alkoholikiem? Bezsennym alkoholikiem. Kochała bezsennego alkoholika, który gdzieś przepadł. Trzeba pójść wreszcie do matki. Stawić czoła, wrócić do rzeczywistości, skoro on już nie wróci. Nie wróci na pewno.

Matka otwiera drzwi niepewnie, powoli. Jest przestraszona. Z trudem poznaje Joannę. W mieszkaniu cuchnie matczyną starością. Bałagan. Matka zaczyna się skarżyć. Znowu coś jej podrzucili. Dokumenty jakieś. W sprawie emerytury. Nie emerytury, tylko renty. Bo przecież emeryturę już jej zabrali. Rentę też zabrali. Jeśli jeszcze nie zabrali, to wkrótce zaborą. Zaborą wszystko. Z pewnością. Bo to jest zbrodnia doskonała. Włamują się do jej mieszkania, gdy wychodzi po zakupy do sklepu, tego naprzeciwko. I wtedy oni wchodzą i dokumenty podrzucają i fałszują. Dopisują różne rzeczy. Fałszują dokumenty, gdy nie ma jej w domu. Fałszują całe jej życie. Chcą zabrać mieszkanie, jej mieszkanie. Już zabrali stare recenzje wycięte z gazet, które zbierała od początku swojej kariery aktorskiej. Chcą ją pozbawić nawet wspomnień. Przeszłości. Żeby zapomniała wszystko. To pismo ze spółdzielni też sfałszowane. W spółdzielni zawsze fałszowali. Rachunki zawyżone przysyłali. A podsłuch to jej założyli w łazience podczas wymiany rur. To dlatego te rury tak często wymieniali, żeby zakładać podsłuchy, a potem zabrać się do fałszowania dokumentów. Dokumentów jej życia. Bardzo ważnych dokumentów. Ale tak naprawdę to oni mają zupełnie inny cel. Chcą mianowicie pozbawić ją życia. W białych rękawiczkach. Bez rozlew krwi. Bez żadnych śladów. Zbrodnia doskonała. Nic dziwnego, że przestała wychodzić z domu. Nie robi już zakupów w sklepie naprzeciwko, nie mówiąc o chodzeniu do „Kwiryny”. Nie wychodzi, żeby nie mogli fałszować i podrzucać. I tak ciągle jej coś podrzucają, jakieś nowe dokumenty. I czają się pod drzwiami. Teraz pewnie też tam stoją. Tylko czekają, żeby wzięła leki i poszła spać. Wtedy wejdą. I znowu się zaczną. Będą wynosić różne ważne rzeczy. Zdjęcia na przykład. Zabrali nawet zdjęcie z pierwszego roku PWST, to z Zelwerem. I zdjęcie jej matki, które wisiało zawsze nad łóżkiem. Ramkę zostawili, a zdjęcie zabrali. Indeks matki też pewnie ukradli, bo już od dawna nigdzie go nie ma. Za to podrzucają jej mnóstwo niepotrzebnych ulotek reklamowych. Z różnych banków. Kiedyś podrzucili jej w kopercie kartę kredytową. Chciała od razu wyrzucić tę kopertę, razem z kartą. Ale karta nagle zaczęła mrugać do niej takim ciepłym, pomarańczowym światłem. I poprosiła przymilnym, dziecięcym głosem: Weź mnie. Trudno się oprzeć prośbie dziecka, nieprawdaż? Przecież miała kiedyś dziecko. Córeczkę. Taką małą. Odprowadzała ją do szkoły. Za rączkę. Taką małą, drobną. Więc cóż miała począć? Wzięła kartę. Zawsze nosi ją przy sobie w torebce, a w nocy wkłada pod poduszkę. Czasem nawet rozmawiają. Matka z tą kartą, co ma cienki, dziecięcy głosik. Rozmawiają po cichu, żeby

nikt nie usłyszał. W nocy, gdy w mieszkaniu słycać szmery, szelesty i szepty fałszerzy, matka zagląda pod poduszkę. I wtedy karta mruga do niej przyjaźnie. Dzięki temu może zasnąć. Stracić na chwilę przytomność. Ale gdy zaśnie znowu ten hałas. To pewnie oni już się włamali do mieszkania i znowu czegoś szukają w jej papierach.

- Mamo, dlaczego jeszcze się nie ubrałaś?
- Kto to?
- Mamo, to ja, mówię do ciebie. Czy jesteś już gotowa?
- Niby na co mam być gotowa?
- Miałam cię zawieść do lekarza.
- Do jakiego lekarza? Tu żaden lekarz nie pomoże, ja już żywy trup jestem.

Nikt jej nie wierzy. Mają ją za wariatkę. Pod byle pretekstem próbują wywabić ją z domu. Wiadomo, czyja to robota! Przecież oni tylko na to czekają, żeby mieć swobodny dostęp do jej mieszkania. Jeśli stąd wyjdzie, to oni zabiorą całą resztę zdjęć. I nie wiadomo, co w zamian podrzuca, co jeszcze sfalszują. I już nie będzie do czego wrócić. Jeśli Joanna jest dobrą córką, to powinna zrozumieć, że nie można zostawić pustego mieszkania. Matka zostanie tu do końca. Może coś uda się jej ocalić.

- Mamo zabiorę cię do siebie, nie możesz mieszkać sama.
- Nigdzie nie pójdę. Nie ruszę się stąd.
- A kiedy ostatnio jadłaś?

Po co ułatwiać im robotę? Przecież jeśli zacznie gotować, to będzie musiała wychodzić po zakupy. A oni tylko na to czekają. Teraz się gdzieś pochowali, bo przyszła jej córka, ale jak tylko wyjdzie znowu będą się czaić pod drzwiami. I czekać, aż zaśnie, żeby wejść do mieszkania. Tego nie da się uniknąć. Oni już zawsze tu będą. Dopiero, jak ona umrze, to może sobie pójść. A i to nie wiadomo. Ale nie teraz. Będą ją dręczyć do śmierci.

- Mamo, kim są oni?
- Po co zadawać takie pytania.
- Czy mają twarze, nazwiska?
- Nie wiem.
- Jak to nie wiesz! Przecież ciągle o nich mówisz.

„Jestem z powrotem. Wirtualny rodzaj czułości to jest rodzaj czułości – wyrażany za pomocą komputera, a nie dotyku czy głosu. Jest takie angielskie powiedzenia dla głodnych i niecierpliwych: ALL GOOD THINGS TO THOSE WHO WAIT... a więc wait... ksawery”.

III MIEJSCE W KATEGORII PROZY

LECHOSŁAW CIERNIAK

PŁASKI TOR

Siedzieli na ławce przy padoku, który wyglądał niczym gustownie urządzonego gazon, ale wcale nie było przyjemnie, bo kłótnia jeszcze trwała, chociaż milczeli.

- Proszę cię, uszanuj moje zdanie - powiedziała potem. - Czy ja się w ogóle nie liczę? Nie jestem przedmiotem, żeby mnie ciągle przenosić z miejsca na miejsce. I powód zawsze ten sam: „tamten tor będzie szczęśliwy”. Powtarzasz to do znudzenia.

- Dostanę dobre konie - odparł. - Jestem pewny, że...

- Tak było już wiele razy. Dostawałeś wspaniałe konie i byłeś całkowicie pewny - zareplikowała. Ja chcę mieć wreszcie normalny dom, a nie ciągle objeżdżać kraj w poszukiwaniu dobrego toru i wspaniałych koni. I chcę mieć dziecko.

- Tam jest płaski tor, a...

- I chcę mieć dziecko! - powtórzyła, prawie krzyżąc.

- Na płaskich torach...

- Chcę mieć dziecko - przerwała mu po raz drugi, ale teraz zupełnie cicho, niemal szeptem.

- W porządku - powiedział. - Dziecko można mieć wszędzie. Jeżeli tak bardzo chcesz...

- Pomyśl o nas. I w końcu uświadom sobie, że masz pecha. Od trzech sezonów nic ci nie wychodzi - powiedziała, łagodząc na ile tylko mogła nutę pretensji w głosie. Nie chciała go urazić. Pragnęła, by uświadomił sobie, że okres kryzysu, jaki przechodzi, jest już zbyt długi, by mógł być tylko przejściowym niepowodzeniem.

- Już dawno powinienem przerzucić się na płaski tor - odparł. - Zobaczysz, kochana, że wróci dobra passa. Zawsze lubiłem płaskie tory.

Nigdy nie lubił płaskich torów, ale odkąd suma startów zaczęła się równać sumie przegranych gonitw, wmówił sobie, że przejście na płaski tor zmieni tę sytuację. Nigdy ich nie lubił, bo sukces na nich bardziej zależał od konia niż od jeźdźca, a w swoim czasie był na tyle dobrym dżokejem, że mógł sobie pozwolić, by dużo zależało od niego.

- Przyrzeknij, że to ostatni raz - powiedziała.

- I że wrócimy tutaj, jeżeli ci nie wyjdzie.

Przyrzekł solennie.

- Przyzwyczaiłam się już do tego miejsca i będzie mi trudno wyjeżdżać - dodała po chwili. - Ale to ostatni raz, prawda?

Przyrzekł po raz drugi. Oboje poczuli się znacznie lepiej i postanowili wracać do domu, którym była jednopokojowa kwatery, mieszcząca się w antresoli budynku przeznaczonego na magazyn jeździeckich utensyliów. Uzgodnili, że wyjadą porannym pociągiem. Uzgodnili też wiele innych spraw, które w przyszłości miały wykluczyć jakiegokolwiek problemy, zagrażające ich stabilizacji.

- Nigdy przedtem nie mówiłeś, że lubisz płaskie tory? — powiedziała potem, mocno wtulona w niego.

Nie odpowiedział. Pośród ciemności nie widziała jego twarzy, ale pomyślała, że zastanawia się nad odpowiedzią.

- Nigdy przedtem nie mówiłeś, że je lubisz.

Ciągle milczał. Mogło się zdawać, że śpi, ale jego miarowy oddech stracił potem rytm i wstrząsnął nim płacz nie do opanowania.

NAGRODA IM. JÓZEFA MAJKOWSKIEGO KATOLICKIEGO STOWARZYSZENIA CIVITAS CHRISTIANA W GDAŃSKU

CHRISTIAN M. MANTEUFFEL

PROFILE KRZYŻA

1. Rozstaje i rozterki

Na początku grudnia 2006 roku znalazłem się w małej odciętej od świata wiosce cypryjskiej wśród gór, gdzie w narożnej części rynku, bliżej nawet od strzelistego minaretu niż od kopuły świątyni greko-katolickiej, wystawiono naturalnej wielkości figury postaci i zwierząt otaczających żłobek z Dzieciątkiem Jezus. Nie było to żadne *święte miejsce* wśród nędznych chat i ubóstwa otoczenia, choć mogło ono przypominać do złudzenia tamto, *nie bardzo pod-
le miasto*, gdzie dla brzemiennej Marii *zabrakło miejsca w gospodzie*. Radość i nadzieja emanowała z tej sceny, tym bardziej, że w sąsiedztwie znajdowała się kwatery *jednostki pokojowej* United Nations. Odwiedziliśmy z Ashlemem obie świątynie wzniesione dla chwały jedyne Boga, choć religie nasze w tak różny sposób oddają mu cześć. Wypiłem przesłodzoną kawę u Turka w bezpośrednim sąsiedztwie stajenki i dopiero wsiadając do samochodu zobaczyłem w lusterku atrapę komety, której refleksy tworzyły kształt krzyża. Tamto uczucie radości i nadziei zastąpił jakiś niepokój. Słowa polskiej kolędy zaczęły krążyć po głowie: *... a proroctwo jego zgonu już się w świecie szerzy!*

Późno się zrobiło, a ruch na drogach greckich jest lewostronny. Grecy nie przyjęli religii anglikańskiej, ale od swych wieloletnich okupantów nauczyli się prowadzenia osiołków po lewej stronie drogi. Gdy człowiek jest zmęczony doprowadza to do zawrotu głowy. W małym przydrożnym hoteliku pokój przypomina mi wybieloną izbę w moim rodzinnym domu na Kujawach. Nawet krzyż nad drzwiami. Telewizor nie pasuje do tej izby. Włączam. Większość

programów w języku angielskim. Zatrzymuję przełączanie kanałów, nie wierzę oczom; tak daleko od kraju; oto znajome twarze, polski wicepremier, w komentarzu – na ile rozumiem – mówi się wiele o seksie, kończy się to wszystko obrazem z pałacu prezydenta, gdzie ten sam wicepremier składa przysięgę, a rota tej przysięgi wzywającym Święty Krzyż do pomocy, przenika do moich uszu bardzo wyraźnie przez obcojęzyczny komentarz. Mój przyjaciel Aslam Ahmed, Pakistańczyk rozumie doskonale komentarz, ale skonsternowany zamiast przetłumaczyć radzi mi wyłączyć program. Jesteśmy bowiem zmęczeni.

Kilka dni później znalazłem się w wiosce o jakże innym wyglądzie, gdzieś pośród wzgórz Wyżyny Szwabskiej. Tutaj spędziliśmy kilka dni, a że drogi nasze w różnych prowadziły kierunkach, pożegnaliśmy się z Aslamem życząc sobie ponownego spotkania; obiecał, że przyjedzie do Polski. Wszedłem do kościoła, gdzie szopka z dzieciątkiem Jezus stanowiła o tej porze roku integralną część głównego ołtarza. Na co dzień ołtarz ten to krzyż z naturalnej wielkości sylwetką żydowskiego mesjasza z twarzą zastygłą w bólu. Lalka w żłobie na sianie miała rysy zgoła inne, jak semickie. Ten krzyż za plecami szczęśliwej matki przytłaczał grozą spełnionego strasznego proroctwa scenę rozgrywającą się u dołu. Nie było nikogo w kościele; stanąłem za figurą Marii zasłaniając sobą cień krzyża. Przeraził mnie odgłos moich własnych kroków; wszyscy wierni odeszli, była późna noc i kościół był pusty. Nie zasnąłem tej nocy, ostatni bez rozgrzeszenia za winę tej daremnej śmierci Bożego Syna.

W drodze do mojego domu na Kujawach zatrzymałem się na nocleg w przyjaznym hoteliku urządzonym w starym pałacyku z czerwonej cegły na rogatkach Rzepina, gdzie zatrzymuję się zawsze jadąc tą drogą. Telewizor włączyłem na krótko tylko. Dziwne uczucie, gdy po wielu miesiącach spędzonych poza krajem słyszy się znów polski język w telewizji. Polski mąż stanu udziela wywiadu. Teraz rozumiem każde słowo. Żałuję, że rozumiem. Na innym kanale trwa reklama broni palnej do kupna bez specjalnego zezwolenia...

Obudziła mnie śpiącym wschodnim akcentem recepcjonistka. W nie wyłączonym telewizorze powtarzane były te same wiadomości. Czekąco na mnie śniadanie; recepcjonistka miała na piersi duży prawosławny krzyż na złotym łańcuchu. Czas jechać dalej.

Tak dzięki obywatelstwu niepodległego kraju widziałem w tych przedświątecznych grudniowych dniach wiele szopek z promienistą kometa, a refleksy jej promieni tworzyły znak krzyża. Na święta Bożego Narodzenia byłem już w rodzinnych stronach, gdzie czekało na mnie, zgodnie z polską tradycją, wolne krzesło, a pod choinką prezent; Boże, co za prezent!, Gołubiew, „Bolesław Chro-

bry”. Tak zaczynają się co roku niekończące się cykle narodzin i śmierci Syna Bożego. Wkrótce, w pewien wiosenny piątek, stanę się jednym z tych za których umrze na krzyżu. Ufny w Jego zmartwychwstanie obojętnie przejdę obok krzyża na rozstajach i nie zapytawszy o właściwą drogę, obmyję ręce w przydrożnym strumieniu i pójdę dalej. Jak ubiegłego roku. Jak każdego roku mojego życia. Jak ty i jak on. I pewnie sięgnę po znak męki Chrystusa, aby przysiąc na niego, jak czynili to moi przodkowie w ponad dwutysięcznej tradycji... Ja, ostatni bez rozgrzeszenia za winę tej daremnej śmierci...

2. „...jakże to?”, „I gdzie jest on teraz?”

Rozum nie może sprawić, że straci sens tajemnica miłości, której symbolem jest Krzyż, natomiast Krzyż może dać rozumowi ostateczną odpowiedź, której ten poszukuje. Nie mądrość słów, ale Słowo Mądrości jest tym, co św. Paweł wskazuje jako kryterium prawdy, a tym samym zbawienia.

Ioannes Paulus PP. II: FIDES ET RATIO (VIII/15)

Krzyż, który służył Janowi Pawłowi II za pastorał, zdeformowany, jakby zastygły w cierpieniu, jakby cierpiał wraz z ukrzyżowanym na nim Chrystusem, szedł drogą tego wielkiego papieża na początku jego pontyfikatu jako wymowna ilustracja do głoszonej przez niego nauki o miłosierdziu przez mękę, a w ostatnich latach już także jako wsparcie dla jego osobistego cierpienia.

Dla narodu, z którego wywodził się Jan Paweł II, symbol krzyża związany jest z jego historią. Mamy doskonałą świadomość tej historii, która rozpoczęła się powierzeniem narodu kultowi „Kyryi Krysti”, jak nazywa archaicznym neologizmem kult Syna Bożego zamordowanego na krzyżu w swojej opowieści o tworzeniu się polskiej świadomości narodowej urodzony przed stu laty Antoni Gołubiew. *Nowe. Szło ono tyłoma niemal drogami ile dusz ludzkich. Przenikało coraz głębiej. Przeobrażało w Znajome, później w Ukochane, wreszcie w Jedynę.*¹

Niepojętą wydaje się dla przedstawicieli innych religii filozofia chrześcijańska nakazująca kult dla symbolu męki Syna Bożego. W roku 1945 zmarła na wygnaniu i w zapomnieniu czołowa poetka niemieckiego modernizmu Else Lasker-Schüler. Mimo żydowskiego rodowodu zbliżyła się bardzo do postaci Chrystusa. Wszystko w tej historii było dla niej wzruszające i piękne zarazem, poza samą męczeńską śmiercią na krzyżu syna wszechmocnego Boga. Pewien współczesny

¹ **Jurata Bogna Serafińska**, *Wizja narodzin Narodu Polskiego – Antoni Gołubiew w Literaturze Współczesna ZAP*, Zeszyt 1, 2006.

poetce niemiecki krytyk literacki wspomina tę jej rozterkę: *Ona była jednocześnie najbardziej niemiecka i najbardziej żydowska, jak można by to było sobie przedstawić. Trwała namiętnie przy swoim żydostwie, a przecież (albo właśnie dlatego) trwała przy postaci Chrystusa. Przysłała mi kiedyś kwiaty, które zrywała sama na Golgocie. Lubiła rozmawiać o sprawach boskich. Chrystus objawiał jej się często wraz z dwunastoma apostołami. (...) Niejednokrotnie bywało, że nagle konstatawała i z wielkimi oczyma mówiła: „Jakże więc, jeżeli On rzeczywiście był synem Boga...”*

*Jak to, jeżeli on rzeczywiście był synem Boga? Bóg, istota nadprzyrodzona, najwyższa, stwórcy świata zsyła na Ziemię swojego syna po to tylko, aby ten żył wśród ludzi jak oni i ich, grzesznych, tak umiłował, by życiem swoim okupić u Ojca grzechy tego świata! W religiach tego świata Bóg był władcą na wzór struktur panujących na Ziemi. A więc despotycznym panem karzącym za nieposłuszeństwo karami bardziej dotkliwymi niż czynili to władcy ziemscy. Taki był jeszcze Bóg Pięcioksięgu, Bóg Abrahama. Else Lasker-Schüler, jeśli nawet nie знаła, czy znać nie musiała Nowego Testamentu, wołała: *Eloi, Eloi, lema sabachthani!* znane jej było z Psalmów Dawidowych Starego Testamentu i musiał ją zastanowić nie tylko ten krzyk zwątpienia umierającego na krzyżu, ale i odwołanie się Chrystusa do tego zapisu proroków z *Psalmu 22*, którego zapis rozpoczyna ten właśnie krzyk. Życie i śmierć Chrystusa jest spełnieniem zapisu proroków nie tylko w tym zawołaniu Chrystusa. Jego pojawienie się na Ziemi, życie, a także śmierć zapowiadały proroctwa pięcioksięgu. A jednak główną przyczyną zwątpienia tych, którzy Go *cztery tysiące lat wyglądali* stał się sam krzyż, śmierć domniemanego mesjasza na krzyżu, w szczególności gdy Stary Testament powiada, że *każdy kto umiera na drzewie jest przeklęty przez Boga*². Krzyż stanowił dla nich kamień obrazy. Poświęcenie przez Boga własnego syna na straszliwą śmierć na krzyżu nie mieści się także w mentalności wyznawców islamu, która to religia potwierdza istnienie Jezusa, zaprzecza jednak ukrzyżowaniu, a w konsekwencji i zmartwychwstaniu. *Wedle Koranu*, – opowiada mi mój przyjaciel Aslam – *Jezus nie został ukrzyżowany ani zabity, a jedynie tak wydawało się ludziom: w rzeczywistości Bóg wziął go do siebie...**

Jakże więc? W roku 1942, w czasie naznaczonym szczególnym występkiem przeciw miłości bożej, ukazała w się w Stanach Zjednoczonych powieść zatytułowana „The Robe”³. Chodzi w niej o szatę Chrystusa, gdzie po wykonaniu

² V Księga Mojżeszowa.

³ Jest tutaj mowa o powieści Lloyda C. Douglasa „Szata”, przypominającej atmosferę sienkiewiczowskiej „Quo Vadis” i która, jak powieść Sienkiewicza, tłumaczona była na wiele języków świata. Szczególną popularność zyskała w latach pięćdziesiątych, po śmierci pisarza, gdy obok wznowień ukazało się też wiele adaptacji filmowych. Powieść ta ukazała się także w polskim przekładzie w wydawnictwie „PAX”.

zlecenia przybicia do krzyża *buntownika mieniącego siebie synem bożym*, bohater powieści gra w kości o szatę skazańca i wygrywa ją. Kat nie znał języka w jakim toczyła się rozprawa przed Piłatem. Dziwna przemiana następuje w nim jednak od czasu, gdy stał się właścicielem *the robe*, szaty ukrzyżowanego. Dochodzą go także wieści, że jego ofiara zmartwychwstała. Pełen zwątpień rozmawia ze spotkanym starcem o tych wieściach:

- *I gdzie jest on teraz? – krzyknął przerażony starzec.*
- *Tego nie wie nikt – odpowiada.*
- *On może ukazać się zawsze i wszędzie. Oby nie zastał nikogo z nas czyniącego coś, co by go zasmuciło, gdy pojawi się nagle, gdy nie będziemy się go spodziewać. Pamiętajcie o tym!*

W tym starcu z powieści Lloyda Douglasa łatwo nam rozpoznać sienkiewiczowskiego apostoła Piotra z „Quo Vadis”.

3. *Ten sam ciągle znak*

Telewizja Polska emitowała w dniach świątecznych trylogię. To nie było jaka gratka dla kogoś, kto usiadł przy polskim stole wigilijnym na krześle przeznaczonym dla rodaków rozproszonych w świecie. Nie wiem, czy dlatego, że to już tyle lat upłynęło od czasu, gdy wchłaniałem w siebie te książki ze świętym przekonaniem, że czynię zadość mojemu tacie poznając *prawdziwą historię Polski*, czy też konfrontując, chcąc nie chcąc to, co dzieje się w filmie z wiadomościami, które podawała ta sama telewizja w przerwach między odcinkami polskiej epepei historycznej, patrzyłem i pytałem siebie: na co nas stać, Polaków, na zdradę i na przysięgi na krzyż bez zmrużenia oka w imię prywaty? Gdy czytałem trylogię po raz ostatni, było to w innej Polsce. Bez krzyża w siedzibie sejmu. Czy to dlatego nie przysięgano wówczas na krzyż? Czy to dlatego z wolności wiary czyni się dziś z Krzyża i świętych elementów wiary nadużycie: *W ogóle nie przysięgajcie. Ani na niebo, bo jest tronem Bożym. Ani na ziemię, bo jest podnóżkiem stóp Jego. Ani na Jerozolimę, bo jest miastem wielkiego Króla. Ani na twoją głowę nie przysięgaj, bo nie możesz jednego włosa uczynić białym albo czarnym. Niech raczej mowa wasza będzie: tak, tak; nie, nie. Co nadto jest, od Złego pochodzi (Mt 5,34-37).*

Literatura Polska to literatura tak przeniknięta historią Kraju, że czyni ją wręcz niezrozumiałą w przekładach na języki obce. A historia naszego kraju, to historia związków tego narodu ze znakiem krzyża. Państwo, które tworzył Mieszko, było państwem narodu puszcząńskiego. Nasi przodkowie żyli w trudno dostępnej kniei. Może dlatego, że brak było nie zalesionych terenów nad Wartą i Wisłą. A może dlatego, że tam czuli się w naturalny sposób zabezpieczeni

przed mówiącymi innym językiem plemionami poza tymi dzikimi lecz swojskimi ostępami. To była ich pierwsza groźna, surowa i wymagająca, lecz własna ojczyzna.

Kontakt tego puszczańskiego narodu ze *światem zewnętrznym* istniał jednak. Czasami i coraz częściej ten *zewnętrzny świat* wdzierał się nieproszony do puszczy. Mijało tysiąc lat od pojawienia się na ziemi Jezusa, Syna Bożego, jego nauki rozszerzały się, a krzyż był nieodłącznym znakiem głosicieli tej religii. Już wtedy doszło jednak do sprzeniewierzenia idei tej nauki. Dla tych struktur państwowych, które uformowały się w pierwszym tysiącleciu po Chrystusie jako państwa chrześcijańskie, krzyż stał się znakiem władzy. Struktury społeczne tworzyły się już zanim uformowały się w państwa. Nawet jeśli ofiary i egzorcyzmy adresowane były do bóstw, to rzeczywista władza i respekt przynależał panu. Tak było i w społeczeństwie, które podporządkowywał sobie Mieszko. Tak wyobrażał sobie Antoni Gułubiew ten zwrotny czas: *O Bogu tym bajała mu też Dobrawa, córka Bolesława. Mieszko oporny był wobec jej gadek. Czuł strach (...) przed tym Bogiem nieznanym, jedynym (...), przed obyczajem obcym (...), przed wstrząsem, którego dokonać trzeba, nieodwracalnym i zupełnym. Zdawało mu się, że zagubi siebie i swój kraj szumiących puszcza odda w niewolę, utraci pełnię swobody, zdradzi dziadów i wszystko, czym żył dotychczas (...). Pamiętał przerażone, nie rozumiejące oczy drużyny, gdy zapowiedział jej, że nowego Boga uznał. Poddali się uległe jego woli – nieprzejednani (...) czekali z przerażeniem, jaki los zgotują dziady wiarołomnemu Mieszce, ale jemu się wiodło w bojach i w miłości. Dobrawa powiła mu syna. A no! Kyryi Krysti mocny Bóg. Oswajali się z nim z wolna. Chrzest, ślub z już chrześcijańską córką Pana ościennego słowiańskiego kraju, a nawet pojawienie się hierarchicznego przedstawiciela Państwa Kościelnego nie były wystarczające dla odwrócenia się od Światowida, symbolizującego ludzką postać, dla krzyża, który był tylko drewnianym znakiem, na dodatek znakiem męczeńskiej śmierci, która nie była obca i dla pogan nad Wisłą. Także pod chorągwiami ze znakiem krzyża szła śmierć. Gołubiewski Kyryi Krysti to Chrystus Pan. Cóż mógł znaczyć wobec pogańskich bóstw syn jakiegos żydowskiego cieśli. Tak zaczęła się gra polityczna instrumentalizująca *Christe, eleison!* w *Kyrie, eleison!* Nowym Bogiem mógł być tylko Pan! Kyryi Krysti, czyli Chrystus Pan.*

Na scenę wkraczała więc potężna trzecia siła, która ze względu na przemiany jakich jest w stanie dokonać i dokonuje w świadomości ludzkiej, zaczyna mieć coraz większy wpływ na wydarzenia historyczne, kulturalne i społeczne i – staje się pierwszą pod względem siły moralnej. To kościół chrześcijański, reprezentowany początkowo przez wędrownych misjonarzy i biskupów delegowanych do Puszczy ze stolicy Piotrowej.

Antoni Gołubiew ukazał całą złożoność dramatów grup społecznych i pojedynczych ludzi, uwikłanych w procesy przełomu cywilizacyjnego, religijnego i kulturowego – ludzi, którzy przyjmują chrześcijaństwo początkowo automatycznie – bo tak chce książę (jego wola jest rozkazem!) – ale potem, stopniowo ulegają wielkiemu przeobrażeniu. Nie można tego procesu moralnego, etycznego, religijnego opisać lepiej niż uczynił to sam autor "Bolesława Chrobrego": *Nowe. Szło ono tyłoma niemal drogami ile dusz ludzkich. Przenikało coraz głębiej. Przeobrażało w Znajome, później w Ukochane, wreszcie w Jedyne.*

Gołubiew pisząc prozą stwarza obraz poetycki i malarski zarazem. Czytając – widzimy wręcz jak żywioł ślepej biologicznej potęgi, siły i witalności pierwotnego życia ściera się z żywiołem ludzkiej świadomości. Słyszymy szczęk broni, parskanie koni, niosący się daleko rycerski odzew bitewny, czujemy zapachy pieczystego z książęcej uczyty, widzimy księcia Mieszkę, poważną Dobrawę, miedzianowłosą Odę, wreszcie młodego, krzepkiego, walecznego i ambitnego Bolesława... Walka żywiołów... Pozorny chaos w którym świadomość dojrzewa. To zapis historycznego procesu – zapis naszego narodowego wielkiego mitu – mitu narodzin potężnego polskiego państwa, które wyłania się na przełomie X i XI wieku z puszczańskiej praojczyzny, gdzie po wykarczowaniu drzew pozostał przy rozstajnych duktach krzyż chrystusowy. Stoi ten krzyż na polskich rozstajach jakoby drogowskaz; w którą zaś stronę od krzyża iść decydował sam wędrujący Polak. Ano, w różne strony...

Rozpisałem się siedząc na tym dodatkowym krześle przy polskim wigilijnym stole. Instrumentalizacja Krzyża Chrystusowego, przysięgi i krzywoprzysięstwa... W latach sześćdziesiątych podawaliśmy sobie bryki zakazanej „Polski Piastów” Jasionicy. Oto w przerwie między emisjami trylogii Telewizja Polska informuje o współpracy żony tego nauczyciela historii polski ze Służbą Bezpieczeństwa przeciwko własnemu mężowi, któremu przysięgała na krzyż wierność. Mnożą się informacje o denuncjacjach wśród społeczeństwa. Kościół apeluje o jedność wobec słów płynących z krzyża: *Ojczy, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią (Łk 23, 24).*

Potem rozdzielili między siebie Jego szaty, rzucając losy. (tamże)

4. „...Aż z męczarów doliny Krzyż jeden, jedyny...”⁴

Moc znaku Krzyża zinstrumentalizowana przez człowieka, musiała w konsekwencji doprowadzić i doprowadziła do zwaśnień. *Gdy religia staje się częścią ideologii politycznej, projektu cywilizacyjnego bądź kulturowego, stanowi uzasadnienie najbardziej cynicznych działań.*⁵ Instrumentalizacja religii w *ponowoczesnym świecie chrześcijańskim* staje się problemem, na który w pierwszej kolejności nie może być obojętny Kościół, ponieważ jeśli nawet nie odwróci to wierzącego od wiary, odwróci od kościoła spod znaku Krzyża. Przykłady ludobójstwa dwudziestego wieku *w imię Boże*, w imię krzyża, są łańcuchem ciągu podobnych wydarzeń od czasów nie wiele odległych od śmierci Chrystusa na krzyżu. Jednakże działo się to wszystko gdzieś w dalekim świecie, a może tak tylko mówili, w każdym razie daleko od nas. Dziś instalujemy sobie w naszych domach okno, przez które widzimy cały świat, a świat widzi nas.

*Wprawdzie nasza epoka sprzyja nieco płytkim i niewymagającym wyborom duchowym, ale nie powinniśmy zapominać o duchowych kosztach najróżniejszych form wymuszonej jednomyślności: o hipokryzji, duchowym ośpieniu, wewnętrznym buncie przeciwko Ewangelii, pomieszaniu wiary i władzy czy zjawisk jeszcze bardziej bulwersujących.*⁶ Mamy ich dość w historii naszego kraju. Czemu jednak wówczas, gdy ceną krwi opłaciliśmy odzyskanie wolności?..

⁴ Aż z męczarów doliny
Krzyż jeden, jedyny
Ziemskich wieków wstanie:
W piersiach nam, o Panie,
Twoje strzały tkwią!
My piekielni,
Pókiśmy rozdzielni –
Ale biedni,
Gdyśmy w jedni;
Twąśmy krwią,
Twym obrazem!
Miej, o Panie,
Zmiłowanie –
Już my razem! –

Zygmunt Krasieński (z *Psalmu żalu*)

⁵ **Dr Witold Worach**, *Ponowoczesna kondycja chrześcijańskiej wiary*; ZARYS, nr 5. Ur. 1975. Ukończył filozofię na Uniwersytecie Śląskim i teologię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Zajmuje się zagadnieniami z zakresu antropologii filozoficznej i etyki.

⁶ **Prof. Charles Taylor**, *Oblicza religii dzisiaj* Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, 2002. Ur. 1931 kanadyjski politolog i filozof (filozofia komunitaryzmu). Ukończył studia na uniwersytetach w Montrealu i Oxfordzie. Tematem jego badań jest filozofia moralności, tzw. „identyzm zachodni” i koncepcja społeczeństwa multikulturalnego. Taylor proponuje ponowny zwrot do wartości religijnych, aby przywrócić sens życiu.

5. „...oburącz wsparty na krzyżu...”

*Jak słup śnieżnej jasności stoi ponad
przepaściami – oburącz wsparty na krzyżu...*

*(Wizja Pankracego; scena finałowa
cz. IV „Nieboskiej Komedii”)*

Czasy najnowsze, koniec dziewiętnastego wieku, przełom tysiącleci, dwa tysiące lat dziejów Krzyża Chrystusowego, tysiąc lat tegoż Krzyża nad Wisłą, przed narodem po raz kolejny zrywającym się do walki o wolność staje jeden z nas *oburącz wsparty na krzyżu!* Idzie przez kraj z którego wyszedł, aby podjąć ten krzyż, gromadzą się wokół niego zdesperowani Polacy, ludzie gotowi raz jeszcze do walki o uwolnienie spod obcej im ideologii. Ale ten człowiek nie wzywa ich do walki. Powołany do głoszenia nauki Nieskończonego, głosi słowa o miłości, o tolerancji, o jedności. Gdzie przejdzie, pozostają nowe Krzyże. Nie wielu wie o tym, że człowiek ten jest poetą. Szedł, a czasem przystawał *oburącz wsparty na krzyżu*. Czasami podszedł do niego człowiek wracający z pola, aby pomóc...

*Dlaczego nie jest tak? Magdaleno, Szymonie z Cyreny?
Czy pamiętasz ów pierwszy krok, którym dotąd idziesz
bez przerwy?”*

(Z poematu Jana Wojtyły „Profile Cyrenejczyka”, 1957)

Cypr, Niemcy, Polska – grudzień 2006/styczeń 2007

NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

ELŻBIETA BUGAJNA

MGNIENIÉ NOCĚ

w jednym sztóce
ùcékô dzén
rëgnął dalek za las
cemnô noc
gasnie wid
w miesądzowim blaskù
za òknã
cygnie w mëslach
procësjô
minionëch piãknëch
pësznëch czasów
dôwno zasëpónëch
w jómie serca
tak mie cos gniece
kòl serca
le cemnica zakrëła swiat

NAGRODA ODDZIAŁU MIEJSKIEGO
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO
W LĘBORKU

JOANNA MAGNOR-KOZŁOWSKA

POCZTÓWKI Z LĘBORKA

Dedykuję Komuś bardzo dla mnie ważnemu, dzięki któremu mogłam przeżyć to wszystko...

Prolog

On i Ona. Żyli od pewnego czasu przeskakując epizody swojego życia, tworząc coś, co można po latach obejrzeć retrospekcyjnie na mentalnym biegu wstecznym. Obrazy te nigdy nie będą spójne, przeszłość nie ma bowiem struktury uporządkowanej, jest jak zbeletryzowana biografia znanych ludzi, na wiele rzeczy się po prostu przymyka oko, wiele się koloryzuje, resztę przyjmuje jako aksjomat. Według niektórych wierzeń od chwili poczęcia on miał przeznaczoną Ją, ona Jego. Podświadomie się szukali, bo gdy wreszcie, po latach pisania do siebie listów (czy ktoś jeszcze pamięta, jak to się robi?), zdewirtualizowali się sobie, od razu wytworzyły się między nimi pozytywne wibracje. Wcześniej znali tylko swoje charaktery pisma, części swych myśli, elementy życiowych zdarzeń. Potem już nic nie było takie samo. Stracili spokój. Oboje.

Ten niepokój, odwieczny towarzysz homo sapiens. Gdy ona ujrzała go po raz pierwszy, miał jeszcze długie włosy, chodził z odrobiną nonszalancji paląc papierosy. Dobrze pachniał. Nie mogło być mowy o jakiejś dobrej wodzie, pachniał sobą. Ona od razu to wyczuła, a że zawsze była olfaktoryczna, poznała nosem, że to on. Pachniał listami i tym, co w nich przekazywał. Nieśmiało podziwiał jej drobne piersi siedemnastolatki, długie nogi, wsłuchiwał się z uśmie-

chem w jej szczepiot. Żyli tak razem a jednocześnie osobno, rozdzieleni siedmioma setkami kilometrów jeszcze bardzo, bardzo długo...

W lutym '92

Wysiadam. Długo to trwało, nim dojechałam. Ale jestem. I nie przeszkadza mi nawet niezbyt dobrze pachnący dworzec. Dlaczego zawsze tu tak „jedzie”? Nie wiadomo. Wiadomo natomiast jedno: wita mnie tablica z napisem „Lębork”. To dla mnie najważniejsze. Niestraszny mi kapiący z nieba śnieg, wiatr, który biednemu zawsze w oczy, czuję się wielka i wyróżniona przez los. Marzyłam o tym od lat, by postawić tu stopę, w tym pięknym, acz wilgotnym i często nieprzystępnym miasteczku. W mieście skazańców. Różne ludzie mają marzenia, ja wiem jedno: osiedlę się tu, nie chcę już mieszkać na Śląsku, chcę żyć tu. Ale nie sama, chce być tu z nim, urodzić mu dzieci, wypowiedzieć mu coś w rodzaju swoistej przysięgi. Irracjonalne marzenia młodej studentki? Ano, zobaczymy jak się sprawy potoczą. Na razie oślepia mnie miłość, nie widzę więc miasta oczami turystki, którą przecież jestem, co by nie mówić. Powiedziałam rodzicom, że jestem z przyjaciółkami w Trójmieście. Rodzice.

Są 700 kilometrów stąd. Przez myśl im nie przejdzie, że ich jedyna córka popelni niedługo swoisty mezalians kulturowy (już słyszę pytanie: Mało to chłopców na Śląsku? No są, są, ale to nie to samo. Zważywszy na mój obecny stan ducha to już w ogóle nie to samo). Mam w sobie dużo siły, idealizm ogarnia mnie całą, choć przeżywam szok na widok wnętrza kamienicy, w której jeszcze o tym nie wiem - przyjdzie mi zamieszkać.

Nigdy jeszcze nie widziałam tak zapuszczonej klatki schodowej, tak obскурnej elewacji, sama nie wiem, może mało w życiu widziałam? Dana mi jest nadludzka siła, ta sama, która pozwala nam przetrwać długie okresy niewidzenia, fizycznej nieobecności, bólu aż do końcówek włosów i paznokci. Siła, która przygnała mnie aż tu, całkowicie nielegalnie można rzec. Masz, masz to, co chciałaś, nie patrz więc teraz szeroko otwartymi oczami na zdemolowaną klatkę schodową, pijaczków w bramie zebrzących o przeddenominacyjne kilka-set złotych na tanie wino. Jesteś w Lęborku, czy nie tego właśnie chciałaś?

W czerwcu '93

Wyjdiesz za mnie? Tak, wyjdę za ciebie. Tego dnia wszystkie demony sprzysięgły się, by ten ślub się nie odbył. Nie było nikogo, mezalians został popelniony w zupełnej ciszy, w asyście świadków, wiadomo, bez tego się nie

da. „A lato było piękne tego roku...”, ano było. Ale po kolei. Świadek zapomniał dowodu, tym samym stracił wartość świadka. Nie było wesela, można postawić na luz, więc rowery, które chwilę później zostały skradzione i „odkradzione” złodziejom były w użyciu. Mały niuans w postaci braku obrączek również nie stanowił wielkiej przeszkody. Przecież można było kupić dwie różne. I postawić przed urzędnikiem dwie świadkowe, w tym jedną z łapanki. Dobrze, że widzów w tej parodii spektaklu było tak niewiele. Że mogę sama dziś uśmiechać się na widok swojej bluzki w groszki, samodzielnie wykonanej fryzury, białej lilii zamiast bukietu kwiatów, no bo przez tych złodziei rowerów z Chopina nie zdążyliśmy zamówić nic więcej, ba! Śmiem twierdzić, cudem zdążyliśmy na Mendehlsonna, który - tak się składało tego dnia, grał właśnie dla nas. „Biorę sobie ciebie za męża, abys zadowalał mnie, ale i frustrował i kłopotał. Byś rozumiał mnie, ale i nie rozumiał. Byś pozwalał mi być, kim chcę, ale i narzucał swój sposób bycia. Byś szanował mnie, ale i śmiał się ze mnie. Byś był względem mnie wymagający, ale i niedorzecznie pobłażliwy. Byś był egoistyczny, ale i nadmiernie troskliwy. Byś był nieustępliwy i sprawiedliwy. Byś był dumny i pokorny. Biorę cię, by szanować, wspierać aż do śmierci”. Nie wiem, skąd ale ładne. Amen.

Ale, ale, co to zmieniło? Nic, trzeba wracać na Śląsk, zaciągnąć w nozdrza zapachy lęborskie, by karmić się nimi w chwili tęsknoty. Nie mamy nawet wesela, są łyzy, jest pociąg powrotny, czuję się jak przeciągnięta przez magiel, w przedziale wciąż się ktoś dosiada, to znów budzę się i jestem sama. Strasznie sama, Aniele Boży Stróżu mój... co ja teraz powiem mamie? Że wyszłam za męża? Za faceta z drugiego końca Polski? Ha, ha, ha. Śmiech przez łyzy. Jedyna córka poddaje się takiej samowoli. Z czasem wszyscy odnajdą równowagę psychiczną, dla każdego znajdzie się miejsce w nowej sytuacji, jakoś to będzie. „Jakoś”, byle to słowo nie nabrało zbyt wielkiego rozpędu. Ma być TAK, nie „jakoś”. Ale długo jeszcze nie będzie...

W sierpniu '94

„I przysięgam, że Cię nie opuszczę aż do śmierci...” Nim wypowiedzieliśmy sobie te słowa, spakowałam się do torebki, książki i ubrania grzecznie posegregowane w kartonach udawały się w stronę Lęborka, ja podążałam za nimi pociągiem. Ostatni raz żegnając swoje śląskie miasto...” Tak mi dopomóż Panie Boże wszechmogący w Trójcy jedyny i wszyscy święci...” Chcę tu być, chcę mieć tu swój dom, swoje drzewo, a nade wszystko swoje rośliny, korzonki, które wczepią mnie w atmosferę miasta, pozwolą mi uzyskać swoisty kaszubski paszport. Tymczasowy, bo przecież jestem Ślązaczką od wielu, wielu pokoleń.

Będzie ciężko, ale jeszcze o tym nie wiem... Na szczęście.

W maju '96

Trochę boli, ale czy to już? Czuję, że tak, ale nikt mi nie wierzy, no cóż, po tylu fałszywych alarmach. Snuję się po ogrodzie, sadzę cebulkę, gotuję, czytam, cierpię i cieszę się, bo dość już mam tego czekania! Martwię się czy nic się nie stało dziecku, już bardzo je kocham i nie wyobrażam sobie takiej sytuacji. Spacerujemy po parku, dziś nie dam rady wspiąć się na wieżę ciśnień, kręcimy się wokół stawu karmiąc łabędzie. Nad nami czołg, obrzydliwy pomnik niechlubnej przeszłości, na Boga, dlaczego on tam wciąż stoi? Teraz to już naprawdę mnie boli, muszę coś zjeść, by dać radę przejść przez ten maraton, jakim jest urodzenie dziecka. Od chwili wejścia do szpitala czuję się jak aktorka. Gram w filmie i... bawi mnie to. Już podczas przyjęcia na oddział tracę rezon. Na szczęście on zostaje, chce pierwszy zobaczyć nasze dziecko. Czuję się taka mało atrakcyjna, ale czy ktoś na to patrzy? Rozpada mi się warkocz, włosy przylepiają do spoczonej twarzy, widzę siebie obcą w lustrze, bladą w czerwone kropki. On nie traci animuszu, rozwiązuje krzyżówkę „samica Mruczka na pięć liter”, „imitacja towaru”, „powieść Prusa”. Wszystko mnie wkurza. Położna kogoś mi przypomina i pachnie „Venezią” Laury Biagotti. Ładuję się do wanny, zanurzam w ciepłej wodzie, chcę, by wszystko się skończyło, niech ktoś zgasi światło, nie chcę już grać w tym filmie! Obmyślam plan ucieczki, położna zachowuje spokój, nawet wówczas, gdy uderzam głową w parapet. Tak bardzo pragnę być „nie w ciąży”! Po kolejnym badaniu położna stwierdza, że to czas i mam przeć. Gdy mój wysiłek osiąga apogeum, mam widzenie. Chrystus wyciąga do mnie rękę, a ja tak bardzo chcę tę dłoń podjąć! Widzę też wszystko z góry i ból zatracca swoją moc. Niestety, jakieś silne szarpnięcie sprowadza mnie na ziemię. Resztkami sił wypycham córkę na świat. Cztery kilogramy szczęścia, bystre oczka, zdziwiony wyraz twarzy. Moja roślina, mój korzonek, mój pomost, dzięki której trochę bardziej się zaaklimatyzuję na lęborskiej ziemi.

On przynosi mi tulipany, zachwycony patrzy na swoją progeniturę, przyszłość narodu i pyta: „A jak będę kochać ją bardziej?”. To pytanie nie powinno było paść. Obrażam się.

W styczniu '98

Dwie kreski. Co mogą oznaczać dwie kreski na kawałku plastiku? Tylko jedno, witaj, moja kolejna roślino szepiająca mnie z tutejszym miastem. Urodzisz się za kilka miesięcy, pójdziesz do szkoły, będziesz miała koleżanki stąd, a pochodzenie twojej mamy będzie już tylko odległym wspomnieniem jej poprzedniego życia... Póki co mdłości, smutek, deszcz leje się po szybach,

łyzy spływają po mojej twarzy. Piękny moment, ale czy podołam? On zabiera mnie na koncert Kayah do Słupska. Wspaniały, pierwszy raz jestem bez dziecka od jego narodzin. Za to mam przy sobie drugie. Chwilowo jest ze mną na stałe. Moje poznane już dziecko staje się całkowitym tyranem, nie śpi od narodzin, nie można przecież nazwać snem takich kilkunastominutowych regenerujących ją drzemek? Więc cieszę się tym bardziej, że udało mi się ją komuś podrzucić.

W lipcu '98

Rozpaczam sezon pływacki na jeziorze Lubowidz. Czuję jak dziecko unosi mnie w swoim pęcherzu wodnym ponad tafelę, cudownie relaksuję wszystkie mięśnie i siebie - dość spiętą - samą.

Kocham pływanie, docieram tu na rowerze, z braku samochodu i wielkiej niechęci do komunikacji miejskiej i wiecznie przepełnionej „czwórki”. Kupuję sobie telefon komórkowy, ale... nie mam do kogo dzwonić, bo nikt takowego nie posiada. Rozmowy na stacjonarne kosztują majątek. Moja starsza opowiada wszystkim, że „pilot dzwoni”. Nieco później...

Tydzień pełen emocji. Burza zwiastująca różnorodność dzisiejszych wydarzeń.

Są dziadkowie, a więc mamy transport! Zwiedzamy Słowiński Park Narodowy i mamy pierwszą niedzielę, kiedy ja i On możemy iść za rękę. Dzieckiem zajmują się dziadkowie. Jarmark św. Jakuba, balony, koncert Antoniny Krzysztosi. Mnóstwo pozytywnych wibracji. Wspaniałe stragany wokół, wszędzie tak ludowo, Derdowskiego zamienia się w mały kram ze starociami i rękodzielnictwem. Brawo ojcowie franciszkanie!

Jakby w opozycji Inwazja Mocy i koncert Republiki - wspaniale można pochylić czoła nad geniuszem Grzesia Ciechowskiego oraz O.N.A., który to koncert określić może jedno słowo: bełkot! Wszędzie pijana młodzież, nie, nie jest to miejsce dla kobiety w ciąży, no ale Republika... nie mogłabym tego przeboleć.

„Czas to wszystkożerna świnia” tyle Łysiak. Zgadzam się z nim, tym bardziej, że zbliża się jesień.

W październiku '98

Idę na oddział, wszystkim zapowiedziałam, że urodzę dziś, muszę dotrzymać słowa, zabieram oszołomionego męża, wojny i porodu nie przewidzisz, tak, kochanie, to już dziś, obdzwaniam przyjaciółki, tradycyjnie się najadam, zapewniam starszej opiekę i już. Siedzę pod prysznicem, wchodzę do wanny, nie

na darmo szpital łęborski ma odznakę szpitala przyjaznego dziecku, prawdopodobnie urodzę za kilka godzin. Boję się. Niespodzianka,

Czteroićwierćkilogramowa dziewczyna przysłała na świat po niedługich mękach tym razem, pół godziny po tej deklaracji.. Znów ta atmosfera filmu, ale tym razem nie dramatu produkcji polskiej, a swoistego Bollywoodu, świadome wydanie na świat człowieka, bez widzeń, bez szaleństwa, w chwili, kiedy już dość miałam swojej ciąży, chcąc by mięśnie i skóra wróciły na swoje miejsce. Niestraszny mi baby blues, mam coś w rodzaju euforii poporodowej i rany szarpane, ogólne niewyspanie oraz ból rąk, nóg i głowy dają znać o sobie dopiero dwie doby po narodzinach mojej drugiej córki.

Chcę wrócić do domu z moim małym żarłokiem, pragnę znów się podobać, nałożyć makijaż, biżuterię, ciekawe czy wejść w swoje ciuchy. Ciekawe też, ile potrwa ten stan... Choć dziecko płacze i nie chce być karmione piersią, nie podaję się, wykarmiłam jedno, wykarmię i drugie. Boże, zlituj się i daj mi siłę!

Chrzczymy jakiś czas potem. Uspokaja się, egzorcyzmy zadziałały, wierzyłam, że Bóg nas nie opuści.

Epilog

Po wielu latach... Co mam? Kim jestem? Czy moje nowe miasto jakoś mnie zapamięta, gdy mnie już nie będzie? Miasto, w którym się zakochałam, mam tu wydeptane ścieżki, chodzę tymi drogami codziennie, skupienia szukam w kościele, tu również niezmiennie siedzę w tym samym miejscu patrząc na zmieniający się wystrój kościoła św. Jakuba.

Ziemia ta przyjęła moje lzy, a drzewa w okolicy słyszały niejednokrotnie śmiech... Wycieczka retrospektywna na mentalnym biegu wstecznym kosztowała mnie wiele wysiłku, musiałam zajrzeć w głąb siebie samej, by ocenić wszystko, co się wydarzyło, swoisty bilans zysków i strat. Na pytanie: czy ponownie zrobiłabyś to samo, czy po raz drugi chciałabyś przejść przez identyczne koleje losu, odpowiadam na szczęście TAK!

Miasto przyjęło mnie, przemielilo nieco, ale nie wypłuło, nie oddało. Tak jak chciałam, moje dzieci chodzą tu do szkoły, są moim pomostem, swoistymi korzeniami, które wiążą mnie z tym miejscem. Jestem stąd? Nie. Ale jestem tutejsza. Już. Czuję to.

Do druku przygotowała
MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w LĘBORKU

Rysunki
Daniel Reich

ISBN 978-83-60731-05-5

Wydano nakładem:
Miasta Lęborka
Starostwa Powiatowego w Lęborku
Oddziału Wojewódzkiego Katolickiego Stowarzyszenia
Civitas Christiana w Gdańsku
Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku

Projekt składu i druk
DRUKRANIA BOXPOL
ul. Wiejska 28, 76-200 Słupsk
tel./fax 059 842 43 71
e-mail boxpol@post.pl
www.boxpol.pl